PRĄD

Warszawa. — 1922.
Rok X — № 1 — 2.
Cena N podw. 200 Mk.



ROK X. — № 1—2. Warszawa, Styczeń — Luty, 1922.

PRĄD

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNY I LITERACKO-NAUKOWY:::

wychodzi na początku każdego mies. prócz sierpnia i września
pod kierunkiem WŁADYSŁAWA LEWANDOWICZA,
przy najbliższym współudziale ANTONIEGO CHACIŃSKIEGO
i JERZEGO LUBOWICKIEGO.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Krakowskie-Przedm. № 7, m. 15a, otwarte codziennie od 6—7 po poł. Tel. 86-21.

PRZEDPŁATA PÓŁROCZNA: 750 mk., zagranicą 1000 mk.

Od Redakcji.

Rozpoczynamy rok dziesiąty.

Od chwili wznowienia rok trzeci. Gdyśmy po wojnie — przed dwoma laty — wydawali pierwszy zeszyt „Prądu", polskie życie polityczne, społeczne i kulturalne było tylko szeregiem możliwości. Dziś poczyna się ono wyraźniej krystalizować: Wojna na Wschodzie, Konstytucja, Górny Śląsk — oto te pociągnięcia pendzlem dziejowym, które malują fizjonomję Polski.

Praca dopiero w zaczątku.

My — młodzi, świadomi swych obowiązków i stanowiska w społeczeństwie, pragniemy stanąć do tego serdecznego trudu przygotowani — oświeceni i zaprawieni.

„Prąd" ma za zadanie budzić w szeregach młodych przedewszystkiem zrozumienie odpowiedzialności, jaka na nas ciąży za przyszłość kraju naszego, zwłaszcza w dobie bieżącej, gdy tyle brudu zanieczyściło glebę polską, gdy brak poczucia obowiązku zewsząd wyziera. Jedno więc z najpilniejszych zadań naszych — uświadomić potrzebę pracy nad

sobą, jako pierwszą, zasadniczą, jako jedynie rodzącą owoce. Dlatego na czele naszego Stowarzyszenia widnieje napis nie czczy, lecz z głębi dusz naszych promieniejący **„Odrodzenie„.**

Pragniemy być tym prądem ożywczym, który do naszego życia polskiego wdarł się po to, aby nieść siłę i moc, niecić światło, zagrzewać do czynu. Dążność do ugruntowania, uzdrowienia stosunków w kraju naszym - na zasadach etyki, na szczęście, coraz częściej jaśniej występuje, atoli omotała się tu i owdzie taką mglistością i niepewnością ideową, wchłonęła w siebie tyle chorobotwórczych pierwiastków intelektualnych, iż zachodzić może słuszna obawa zupełnego zwichnięcia przedsięwzięć. My natomiast żądamy, aby odrodzenie społeczeństwa przez odrodzenie jednostki wsparło się na mocnym zrębie filozoficznym — a jest nim **chrześcijański pogląd na świat.** Po nim może się spodziewać Naród nasz ładu w głowie i w sercu, a zatem tężyzny!

Nie sprzeniewierzamy się swym pierwszym hasłom. Przed laty dziesięciu podjęliśmy pracę pozytywną i znów ją podejmujemy. Zdajemy sobie sprawę, jak głęboko w życie polskie wedrzeć się usiłuje nienawiść. Przeciwko niej uzbrajamy się i do walki wystawiamy jedynie twórczą zasadę: **Miłość,** jednak nie płonną, nie bladą i chwiejną, ale twardą i gotową na zadanie bólu nawet, jeżeli operacji dla zdrowia potrzeba! To nasz program społeczny, w tej atmosferze się wychowujemy!

Nasze życie narodowe i polityczne zaraziło się miazmatami rozstroju i egoizmu, zatraciło nie w jednym przejawie zdrowe odczucie patryjotyczne, nie liczy się nieraz z żywą, etyczną duszą Narodu. — Olbrzymie pole do karczowania! Polska, którą Opatrzność otoczyła z jednej strony szowinizmem Germańskim, z drugiej kosmopolityzmem Rosyjskim, ma za zadanie w samodzielnym wysiłku wykrzesać zdrowe poczucie narodowe. W tradycji naszej skarby złożone, trzeba jeno po nie sięgnąć!

Tedy więc, pomimo gorącej wiary w lepszą przyszłość, pomimo radosnego solidaryzowania się z prądami, które ku niej wiodą, przystępujemy do realizacji swoich zamysłów,

bez młodzieńczej zarozumiałości i pewności siebie, z głębokim szacunkiem dla dorobku cywilizacyjnego wieków ubiegłych. Rozpoczęliśmy pracę na daleki dystans; nie dziś, nie jutro spodziewamy się osiągnąć jej rezultaty: pragniemy bowiem dorzucić cegiełkę do fundamentu pod gmach kultury Chrześcijańskiej w duszach młodego pokolenia.

Żywimy nadzieję, że wysiłki nasze jak dotąd spotykać się będą i nadal z poparciem i zachętą i zdobywać uznanie dla umiłowanych szczerze haseł naszych.

Papież Benedykt XV.

22 Stycznia 1922 r. o godz. 5.50 rano Ojciec świata chrześcijańskiego, Papież Benedykt XV, zakończył swój doczesny żywot. Choroba nie trwała długo, bo kilka dni zaledwie, a była tak niszcząca, że już od pierwszych dni jej powstania zgonu tego spodziewano się z dnia na dzień.

Codzienne pisma już doniosły o szczegółach choroby i o ostatnich chwilach zgasłego Ojca Św. Niektóre z nich podały też mniej lub więcej szczegółowe życiorysy. To wszystko jednak razem wzięte nie może dać wyobrażenia istotnego o tej olbrzymiej masie i intensywności pracy różnorodnej, jaka cechuje ten ostatni bardzo krótki, bo tylko siedmioletni, Pontyfikat.

Bo i wypadł on w tak ciężkich i katastrofalnych warunkach, że zaiste potrzeba było wielkiej potęgi ducha aby móc prowadzić dalej nawę Piotrową bez żadnych wstrząsów.

Taką właśnie potęgą, w najszerszem zrozumieniu tego wyrazu, był zmarły Papież. Już od samego urodzenia swego, jako syn Margrabiów della Chïesa, obdarzony tkliwem sercem, prostotą i pokorą, oraz gorącem powołaniem do służby Bożej, był jakby specjalnie przez Stwórcę na tron Apostolski przeznaczonym. Czasu najkrwawszej światowej wojny, niesłychanych przewrotów socjalnych i politycznych, czasu tryumfu idei wrogiej kościołowi, czasu największych klęsk wojennych i gospodarczych, największych rozłamów społecznych, największych bluźnierstw, złości i wyuzdania społecznego, gdy

najpotężniejsze trony Europejskie jeden po drugim waliły się w gruzy, — gdy prawo brutalnej pięści bratobójczej zapanowało wszechwładnie wśród wielu narodów europejskich, — niewątpliwie, że i tron Papieski był bardzo poważnie zagrożonym.

A jednak, nietylko że się ten Tron nie zachwiał ani na jedno mgnienie, nietylko że nie został zepchnięty na podrzędne miejsce, — lecz przeciwnie, pomimo wszelkie wrogie mu wysiłki, tak wzmógł się w swem znaczeniu, i tak spotężniał w swoich wpływach, że dziś niema już prawie Państwa, któreby nie miało swych przedstawicieli przy tronie Papieskim, lub o zaszczyt ten się nie starało.

W czasach wielkiego przełomu światowego, gdy żar miłości Chrystusowej w sercach ludzkich zdawało się był tak stłumionym, że żadne iskry w nim już jaśniej nie zapłoną, — nie łatwą to było sprawą rozdmuchiwać je w popiołach masowego egoizmu i niewiary.

I nie dokonałby tego dzieła zwykły ludzki umysł, nie będąc do tego powołanym przez Opatrzność ani specjalnie w tym celu obdarzonym Jej Najwyższą łaską.

Może nigdy jeszcze sytuacja polityczna Europy nie była tak ciężką, a groźba dla Stolicy Apostolskiej tak wielką, jak w tych ostatnich latach. Stanowisko Namiestnika Apostolskiego wymagało wyjątkowych darów serca i umysłu, aby z jednej strony okazywać wszędzie, gdzie się tylko dało, miłość Ojcowską i ofiarną pomoc, zaś z drugiej nie dać się uwikłać w żadne sprawy polityczne w sposób mogący Jego autorytet na szwank narazić.

Potrzeba zatem było niezwykłej wprost dobroci i tkliwości serca, niepospolitych zalet umysłowych, wysokiego wykształcenia i zdecydowanego charakteru przy wyraźnej bezstronności i bardzo silnej dobrej woli. Jeśli do tych niezbędnych głównych cech zmarłego Papieża dodamy jeszcze wielką serdeczność i uprzejmość, skromność i przystępność, prostotę i łatwość obcowania, bystrość umysłu i przenikliwość, a także nadzwyczajny takt, niestrudzoną pracowitość i wszechstronną znajomość duszy ludzkiej, — to otrzymamy zaledwie tylko nieudolny obraz niepospolitej postaci Benedykta XV.

Doskonały prawnik i organizator, wytworny dyplomata i doświadczony duszpasterz, znał się wybornie na wszystkiem, co w zakres kierownictwa Kościołem wchodzić mogło. Nic też dziwnego, że od pierwszego już dnia wstąpienia na Tron Piotrowy, ujął ster

rządów swych wprawną i pewną ręką. Minęło zaledwie trzy dni od zamknięcia conclave na którem wybór Jego został dokonanym, jak (w dniu 8 września 1914 r.) ogłasza już swój wspaniały list pasterski, w którym między innymi czytamy:

„Chrystus włożył na nas obowiązek otoczyć najtkliwszą miłością ojcowską wszystkie nasze o-ieczki. Wstępując w ślady Pańskie, musimy być gotowi życie nasze dla ich dobra poświęcić. Jest naszem silnem postanowieniem nie zaniedbać niczego, co tylko jest w naszej mocy, ażeby koniec tego nieszczęścia (wojny) przyśpieszyć".

Oto był krótki a treściwy program nowoobranego Papieża, jakby już zgóry wiedzącego, że dnie pontyfikatu Jego nieliczne będą, li tylko czasem niedoli wojennej obliczone. To też nie tracił on czasu ani chwili, i bolejąc nad udrękami wzmagającej się burzy wojennej, już w tymże pierwszym liście zwraca się w imię pokoju powszechnego do władców Państw walczących w następujące słowa:

„...prosimy i zaklinamy z całej duszy tych, którzy losy narodów dzierżą w swej dłoni, aby zechcieli dla dobra ludzkości zaniechać wszelkich nieporozumień, i wspomnieć, iż już zawiele tych smutków i nieszczęść, których pomnażać nie należy; że już dość tych ruin i krwi przelewu. Niech przeniknie ich idea pokoju, niech podadzą sobie ręce do zgody, natenczas zbiorą plon obfity łask Bożych dla siebie i swych narodów, zdobędą wysokie zasługi wobec cywilizacji i uczynią to, co nam jest najmilszem i najpożądańszem, gdyż przez ciężkie spraw powikłanie od początku naszej apostolskiej pracy nie mało mamy przeszkód do zniesienia".

A gdy to pierwsze wołanie pasterskie bez echa prawie przebrzmiewa, a okropności wojenne coraz więcej i więcej się szerzą, to nie czekając długo, znowu swój głos podnosi i w kilka tygodni później, dnia 1 listopada 1914 r., ogłasza encyklikę Swoją o źródłach dzisiejszych nieszczęść i środkach zaradczych, w której, zwracając się do panujących, na samym początku mówi:

„Niech Nas usłyszą, gorąco prosimy, ci, w których rękach losy państw spoczywają. Jeżeli pogwałcone zostały prawa, nie brak z pewnością sposobów środków do ich naprawienia. Miłością powodowani, do nich się zwracamy. Niech nie pozwolą, by głos Przyjaciela i Ojca przebrzmiał napróżno".

Gdy jednak i potym jeszcze wciąż wojna światowa się rozrasta, to Ojciec Św., w myśl zapowiedzianego w swym pierwszym liście programu, zabiera się niebawem do pełnienia swych obowiązków Ojcowskich, czyniąc zabiegi wszelkie w celu zmniejszenia niedoli ogólnej, — a więc przedewszystkiem przeprowadzą pierwszą wy-

mianę jeńców — inwalidów, i czyni starania w kierunku wymiany rannych i chorych. Zaś w następnym liście swoim z dnia 7 lipca 1915 r. zwraca uwagę na nieludzkość stosowania „środków przeciwnych prawom ludzkości i prawom międzynarodowym, na lądzie i na wodzie”. A dalej zapowiada: „ponieważ serce Nasze krwawi się widokiem tylu nieszczęść, nie ustajemy w zabiegach koło umniejszenia smutnych następstw wojny”.

Wkrótce potem, za zbliżeniem się pierwszej rocznicy wybuchu wojny, w dniu 28 lipca 1915 wydaje pierwszą odezwę za pokojem, w której mówi:

„Błogosławiony ten, kto pierwszy gałązkę ofiarną podniesie i nieprzyjacielom poda dłoń i rozumne warunki pokoju. Ład świata, postęp i bezpieczeństwo oraz spokój narodów spoczywają daleko więcej na wzajemnej życzliwości, na poszanowaniu prawa i godności innego człowieka, aniżeli na ilości broni i na straszliwym pasie warowni“.

Wreszcie pod koniec trzeciego roku wojny wydaje Papież ową sławną notę pokojową, której treść i znaczenie do dziś są jeszcze omawiane. Nota ta, na głębokiem psychologicznem podłożu oparta, po raz pierwszy w czasie wojny ukazuje ludzkości istotne przyczyny tej wielkiej dziejowej tragedji. Dalej zapowiada ona, że przyszły kongres musi przygotować wszystkim *narodom* grunt do wszechstronnego duchowo-materjalnego rozwoju, inaczej bowiem nie da się stworzyć gruntu trwałego do zgody.

W działalności swej dalszej zapoczątkowuje i bierze żywy moralny i materjalny udział w akcjach pomocniczych na rzecz jeńców i wszelkich ofiar wojny, w szczególności zaś promuje wszechstronnie akcję ratowniczą dla dzieci, zachowując przytem prawdziwie ojcowską sprawiedliwość i bezstronność, uważając się za Ojca Duchowego wszystkich narodów świata bez wyjątku.

Atoli Jego tkliwemu sercu Ojcowskiemu najbliższymi stają się ci, których za najwierniejszych swych synów uważał, a których brzemię najcięższej niedoli moralnej i fizycznej przed i podczas wojny przygniatało. Dlatego też specjalnymi objawami swej pieczołowitości Ojcowskiej obdarza od początku nas Polaków.

Ku nam to skierowuje wielokrotnie słowa miłości i ukojenia, składa kilka razy znaczne ofiary na naszych poszkodowanych rodaków, wzywa wreszcie cały świat Katolicki do ofiarności dla nas i do modlitwy za los Ojczyzny naszej. — „Widzi On bowiem — jak pisał

Kard. Gaspari w liście do H. Sienkiewicza, — w ukochanych Polakach nietylko naród szlachetny, wtrącony, niestety, w rozpacz i nieszczęście, lecz uznaje w nim i kocha Synów swoich szczególnie sobie oddanych, niezrównanie szlachetnych i aż do poświęcenia przywiązanych do Stolicy Apostolskiej".

W 1916 roku w liście do Biskupów Polskich jeszcze raz daje nam poznać serce Ojcowskie Swoje, wyrażając się w ten sposób o ówczesnej niedoli naszej:

„W dzień i w nocy przed oczyma Naszemi jak widmo stoi nad wyraz smutne położenie Polski, nad którą wichura bojowa srożyła się najwięcej. Wszystko wedle możności czynimy, by ulżyć tej niedoli, a pragnęlibyśmy czynić coraz więcej... Całem sercem i duszą pragniemy zbawienia Ojczyzny Waszej, a stanie się to tylko wówczas, gdy Bóg przebłagany wejrzy litościwie na świat cały".

Ale nie koniec jeszcze na tem. Oto wszakże już wojna wielka skończona, a z rumowisk jej powstaje zwolna Polska do samoistnego życia. Lecz nim okrzepła i nim się wzmocniła w swych rodzimych granicach, jak już otoczona ze wszech stron przez wrogów, do obrony swego bytu zniewolona, wojnę krwawą zmuszoną jest toczyć.

Przychodzi sierpień 1920 roku. Nieprzyjacielskie hufce tempem przyśpieszonym zbliżają się ku Warszawie. Organizacje i związki społeczne i zawodowe śpiesznie wysyłają do Rzymu delegację w celu uproszenia Ojca Św. o zabranie ponowne głosu w obronie zagrożonego bytu naszego przed całym światem. Ojciec Św. nie czeka jednak na to, i już przedtem wydaje list pasterski, zalecający w całym świecie modły kościelne na intencję Polski. A gdy wreszcie ta delegacja do Watykanu przybywa, to Ojciec Św. przyjmuje ją tak łaskawie, tyle gorącego współczucia, serca i zainteresowania sprawami Polskimi jej okazuje, że odchodzi ona od stóp Jego z głębokiem przeświadczeniem, że ma w Nim nietylko tkliwego Ojca i serdecznego Przyjaciela, lecz i gorącego orędownika przed Obliczem Bożem.

Istotnie bowiem, jak wiemy, w tymże czasie nastąpił przełom w naszych działaniach wojennych i wroga odrzuciliśmy daleko.

Trudno bardzo w tym szkicu całkowicie uchwycić duchową postać tego wielkiego Papieża, gdyż nadzwyczaj dziwnem się wydaje połączenie takich niby sprzecznych cech ze sobą, jak wytworność

i dyplomacja z serdecznością i prostotą. I nie łatwo zda sobie sprawę z tego ten, kto z Nim osobiście nie obcował. Faktem jednak jest, że w całej działalności Jego zawsze i wszędzie górowało przedewszystkiem Jego wielkie, miłością swą Ludzkość całą obejmujące, serce. Był to prawdziwy pasterz Owczarni Bożej, i wierny Siewca miłości Chrystusowej.

Niestety, niedanem było Mu zakończyć całkowice dzieła tego, które już niebawem miało się uwiecznić ugodą z usilnie zabiegającym o to od pewnego czasu Włoskim rządem.

Nie mniej od dzieła powszechnego pokoju, do czego specjalnie czuł się powołanym, zajmowały go również sprawy ustroju Kościelnego, którym wiele poświęcił uwagi swej i pracy, kontynuując w ten sposób działalność swego poprzednika, Piusa X. Zostało wreszcie zakończone uporządkowanie przepisów i postanowień w zakresie prawa Kościelnego przez ujęcie ich w jeden ogólny Kodeks, podzielony na 2.414 artykułów, czyli kanonów, w których zawarte są poszczególne postanowienia, dotyczące wszystkich bez wyjątku spraw Kościelnych.

Pozostaje nam jeszcze wspomnieć tutaj o stosunku do młodzieży, którą Ojciec Św. szczególnie czule interesował się przez całe życie, i całem swem sercem miłował. Będąc studentem należał do związku młodzieży katolickiej „Gioventu Cattolica", i ze związkiem tym zachował najserdeczniejszy stosunek do końca życia.

W dalszej swojej działalności, już będąc Kapłanem i wysokim dostojnikiem Watykańskim, lubił zajmować się dziećmi i sprawami młodzieży. Zostawszy Arcybiskupem Bolońskim, zaraz po ingresie, przedewszystkiem zwrócił się do młodzieży, i od niej swoją pracę na nowej placówce rozpoczął. Ukochała go ta młodzież za to, wdzięcznością serca płacąc Mu za Jego pieczołowitość i troskliwość.

Szczególną opieką otaczał zawsze sfery biedne i robotnicze, dbając o staranne wychowanie i poprawę bytu ich dzieci. Wiedzą coś o tem również i nasze polskie dzieci, niejednokrotnie z łaski Ojca Św. zasiłkami i pomocą obdarzane.

Nie zapomnę nigdy tej chwili, gdy, będąc raz na audencji, doręczyliśmy Ojcu Św. od dzieci robotników polskich dziękczynny adres za pamięć o nich i prośbę o błogosławieństwo. Na wzmiankę o polskich dzieciach, oblicze Jego rozjaśniło się jakąś szczególną tkliwością. Zauważywszy, że adres jest napisany po polsku,

kazał go sobie natychmiast przeczytać w tłómaczeniu włoskiem, i z wielką uwagą i rozczuleniem do końca go wysłuchał.

W sposób niezwykle serdeczny odpowiedział Papież dziatwie polskiej, gdyż wkrótce potem nadesłał dla każdego z 85-u podpisanych dzieci, na ręce Kardynała Kakowskiego, portrety swoje z własnoręcznym swym podpisem przy błogosławieństwie.

Ostatni rok pontyfikatu Benedykta XV na długo upamiętnił się w duszach młodzieży katolickiej szeregiem nabożeństw i audjencji, specjalnie dla młodzieży tej z okazji pierwszego powszechnego zjazdu młodzieży Włoskiej i Kongresu międzynarodowego młodzieży w Rzymie, przez Ojca Św. udzielonych.

Niezbyt zasobna kasa Jego stała zawsze otworem dla biednych wszelkich i pomocy chociażby chwilowej potrzebujących. Nawet Czerwony Krzyż rosyjski, działający wśród swych emigrantów we Włoszech, otrzymywał na swe cele stałe zasiłki. Znam dużo wypadków, kiedy osoby najrozmaitszych narodowości, będące w przejeździe w Rzymie, dość znaczne zasiłki otrzymywały. Ojciec Św. do swych niemal codziennych obowiązków zaliczał posyłanie pieniędzy księżom ubogich parafij na intencje mszalne, udzielając im w ten sposób i ze swej strony pomocy. Lubiany był przeto przez wszystkich, a nadewszystko przez lud i młodzież wśród których wdzięczną pamięć na długo po sobie zostawił.

dr. Antoni Wrzask.

Na marginesie programu „Odrodzenia”.

... My wierzyliśmy i wierzymy w twórczą potęgę katolicyzmu. Doświadczenia dnia codziennego dały nam boleśnie odczuć, w jakim zamęcie ideowym, w jakiem bagnie praktyki powszedniej zanurza się współczesny świat. Wierzymy i wiemy, że ratunek jedynie tam, gdzie w pełni żyje nieskalana, życiodajna nauka Chrystusa w *kościele*. Ona więc jest *naszą ideą*.

Nie obrona zatem tradycji, ale walka o prawdę, jedyną prawdę! Atoli nie tu jeszcze koniec. Katolicyzm sam w sobie—to dzieło Boże i żadne prądy życia ludzkiego nie zdolne są objąć jego zawartości. Nic przeto dziwnego, że w każdej epoce przyobleka się on w od-

rębne kształty, gdyż idąc z rozwojem życia przyrodzonego, naturalnych procesów ideowych, wplata się w nie i tworzy z nimi każdorazowo swoistą postać kulturalną, nie tracąc jednak ani odrobiny ze swej zasadniczej treści. W dobie więc obecnej, żyjąc pod hasłem przemożnych reform i przeobrażeń społecznych, katolicyzm musi przedewszystkiem zająć się sprawą socjalną, z jej strony podchodzić do rozwiązywania i realizowania odwiecznych swych zadań. Dlatego to od pierwszej chwili powstania byliśmy i jesteśmy katolikami *społecznymi*. A więc to *druga idea*, albo ściślej mówiąc sprecyzowanie pierwszej: katolicyzm ujmować ze stanowiska potrzeb współczesnego stadjum rozwoju społecznego, ten zaś uchwycić w klamry doktryny katolickiej.

Oto zasadnicze tendencje, które nam przyświecały u kolebki naszej pracy „Odrodzeniowej". Terenem jej Polska, a przez nią świat cały.

A teraz słów kilka o praktyce.

Chcemy, aby katolicyzm w Polsce przestał się wstydzić i trwożyć. Jest on potęgą twórczą, niesłychanie przewyższającą w swej pojemności i głębi prądy umysłowe, kulturalne niewiary. Trzeba jeno nauczyć się patrzeć, trzeba zaostrzyć wzrok, wznieść się ponad codzienny tryb życia, przepełniony drobiazgami i dojrzeć przewalające się potężne fale rozwoju cywilizacyjnego, trzeba się nauczyć dotykać życia w jego przejawach syntetycznych. A wtedy z poza ćwiczeń pobożnych, z poza obrzędów liturgicznych i obowiązków przeciętnego chrześcijanina, z poza banalnych rzekomo, oklepanych słów, z poza powtarzanych bezmyślnie częstokroć lub tylko uczuciowo modlitw i moralizowań potrafimy wydobyć na światło dzienne nurt kultury katolickiej — te moce, które urabiają, niewidocznie dla całych tysięcy i miljonów, fizjonomję zarówno jednostek jak i społeczeństw, świata całego, słowem bezustanku pulsujące intelektualne życie kościoła. Wtedy w całej okazałości stanie przed nami przedziwnie mądra, przedziwnie rzeczywista filozofja katolicka — ta, która idzie od Pawła Apostoła, Augustyna i Tomasza z Akwinu po przez wieki aż do dnia dzisiejszego, do encykliki Piusowej „Pascendi".

Wtedy dopiero zdołamy ocenić rolę, którą kościół odegrał w dziejach kultury świata, potrafimy pokazać intelektualną wartość

idei katolickiej; przestanie ona być dla nas bigoterją — jej sztandar górnie dzierżyć będziemy bez niepokoju i zamieszania.

Atoli, aby tak się stało, trzeba tę ideę katolicką, to życie intelektualne kościoła *poznać*. Najprzód tedy filozofję. Dobrze sobie zdaje sprawę z jej potrzeby młodzież akademicka Szwajcarska, Angielska i Niemiecka, gdy stawia jako warunek sine qua non podjęcia gruntownego studjum filozoficznych podstaw wiary. Nic dziwnego, jest przecież religja nasza poglądem na świat, tak przytem misternie i spoiście zbudowanym, iż z usunięciem jednego wiązania musi runąć cały gmach myśli katolickiej, która nie zna, co to kompromis i niekonsekwencja! Niema mowy, abyśmy mogli marzyć o wytworzeniu inteligencji katolickiej, o zawładnięciu w imię wewnętrznej swej wartości myślą w kraju, jeżeli nie staniemy na gruncie mądrości chrześcijańskiej. Brak pogłębienia filozoficznego rzuca na pastwę przeróżnych fluktów publicystycznych, wtrąca w niewolę niepewności i powoduje chroniczną nieufność do tego, co wyszło z pod pióra katolika. A „myśl katolicka i to właśnie *jako taka*, t. j. w całym swym określonym charakterze wrasta w nowoczesne zagadnienia poznania, wartości, stosunku nauk przyrodniczych do innych gałęzi badań, metodologji historycznej i zajmuje wobec wszystkich nich stanowisko, które byłoby studjowane i ocenione o wiele wyżej w ściśle naukowym i filozoficznym świecie, gdyby właśnie nie to, że jest to stanowisko katolickie". „Kościół jest w stanie przyjąć wszystkie wyniki nowoczesnej myśli naukowej i nie zachwiać się ani na chwilę, jest w stanie uznać, że życie poza obrębem kościoła dokonywało w ciągu ostatnich stuleci prac niezbędnych, lecz że zostały one niezupełnemi właśnie dlatego, że były wykonywane poza posłuszeństwem kościelnem, i że dzisiejszy kryzys kulturalny jest wynikiem tego przebiegu historji" (Stan. Brzozowski we wstępie — str. 10, 14 — do „Przyświadczeń wiary" Newmana).

A więc jeszcze raz powtarzam, uprawa intelektu to najważniejsze zadanie w dobie obecnej. Oto przykłady:

Jakąż radością i mocą napełniałyby się dusze nasze, gdybyśmy umieli zrozumieć i do szpiku kości przejąć się tym faktem, iż *posiadamy prawdę!* Inni jej szukają, my już ją mamy. My, katolicy, powinniśmy umieć żyć tą świadomością tak głęboko i wszechstronnie, iż najdrobniejszy i najlżejszy powiew dekadenckiego *szukania*

dla szukania nie mógłby nas zaniepokoić. Tylko wtedy zdołalibyśmy czoło wystawić i obronną wyjść ręką z walki ze sceptycyzmem i wnieść do współczesnego świata to, czego on tak łaknie — ***pewność i objektywizm***, wtedy potrafilibyśmy oczyścić umysłowość naszą z przeraźliwej anarchji myślowej, z bezładu i braku konsekwencji. Oto dowód: Rémy de Gourmond, jeden z najsubtelniejszych znawców świata współczesnego, tak pisał: *„Ce qu'il y a de terrible quand on cherche la vérité, c'est qu'on la trouve"*. Jeżeli jest coś przerażliwego w szukaniu prawdy, to to, iż się ją odnajduje! Tak, tak — odnajduje!

Dzięki Bogu, anarchja ta poczyna na Zachodzie zanikać, mówi się tam o renesansie myśli średniowiecznej. A my co?

... My w swej Organizacji ciągle powtarzamy, że całą swą działalność opieramy na etyce chrześcijańskiej. Wyrażenie to jednak jest bardzo niedokładne, mgliste i w gruncie rzeczy niemało nam sprawiało kłopotu. Nie daje bowiem żadnego zgoła kryterjum, dlaczego nie przyjmujemy do swego grona protestantów lub prawosławnych, wreszcie ateuszów o „etyce chrześcijańskiej". Trzeba więc sobie gruntownie zdawać sprawę, że mimo wspólnej etyki chrześcijańskiej różnią nas zasady dogmatyczne, które właśnie urabiają naszą psychikę, i nadają istotny, odrębny ton działalności katolickiej. Tak, mocą wychowawczą katolicyzmu, jego pięknem i atrakcją dla dusz *współczesnych* jest przedewszystkiem *dogmat*,

... Gdy zastanawiamy się nad typem przyszłego katolika, nie możemy go sobie nigdy inaczej wyobrazić, jak człowieka o *wszechstronnej* kulturze umysłu i serca. Wprost oburzeniem napełnia nas, gdy słyszymy, jak obok najżywotniejszych kwestji życia intelektualnego Kościoła przechodzi się obojętnie, ba, z przekąsem wyższości, niby w imię praktyki. „Odrodzenie" ma właśnie na celu wyrobienie w swych członkach żywego odczucia i zrozumienia dla potrzeb życia umysłowego. Zapewne, nie wolno nam ani na chwilę zapominać, że poza intelektem istnieją serce i wola, ale u nas w Polsce tak mało mówiono o uprawie intelektu, iż nie zaszkodzi, gdy tę stronę pracy odrodzeniowej z całym naciskiem entuzjazmu dla myśli Katolickiej podkreślać będziemy. Wyjść musimy z ciasnych ram wyłączności zawodowej, zdać sobie sprawę, że dziedziny skądinąd odrębne ściśle ze sobą się wiążą i dopiero w harmonji stanowią siłę i piękno. Oto przykład:

Na czele Włoskiej partji ludowej (il Partito Popolare) stoi ksiądz Don Sturzo. Jest on nietylko jednym z najwybitniejszych polityków, nietylko doskonałym burmistrzem i twórcą geńjalnego projektu uregulowania poborów podatkowych, ale świetnym znawcą muzyki, kompozytorem i dramaturgiem. Ta właśnie wszechstronność i gruntowność dała katolikom we Włoszech zwycięstwo. Boć liczba imponować może jedynie przez chwilę, prawdziwe zwycięstwo osiąga pulsujące życie ideowe. We Włoszech to życie wspina się na najwyższe regjony, bo oto Padre Pio — ów święty stygmatyzowany w XX w. — nadesłał Don Sturzemu kartkę z życzeniami pomyślności w walce wyborczej. Tak, tu dopiero życie katolickie wre w pełni, gdyż ziemia i niebo we wspólnym uścisku ku lepszej przyszłości kroczą.

... Socjalizm. Socjalizm, co ma w sobie lepszego, przejął z nauki Chrystusa, oparł się jeno na filozofji materjalistycznej, stąd jego duch i taktyka. Zapewne, boleć musimy, że katolicy nie potrafili uchwycić w zarodku prądów społeczno-ekonomicznych w końcu XVIII i na początku XIX w., możemy i musimy skarżyć się na swoich przodków za ich kwietystyczną orjentację religijną, ale eo ipso uczyć się inicjatywy i śmiałości. Niech nam ustawicznie przyświeca „Sillon". Duch tej szczerze demokratycznej i konsekwentnej organizacji pcha ją nieraz na lewicę ale nie dla frazesu politycznego i agitacji partyjnej, lecz w imię głęboko przemyślanej i serdecznie umiłowanej prawdy katolickiej. Dziś w walce z kapitałem jedynie światło nauki Chrystusowej zaradzić potrafi, atoli wtedy tylko, o ile przekroczymy ustawiczne moralizowanie i wpleciemy ją w mechaniczny czy organiczny — mniejsza narazie o to — rozwój życia społecznego. Wystarczy wziąć do ręki podręcznik ekonomji społecznej, pisany przez katolika, aby się przekonać, iż mamy do czynienia z traktatem o etyce socjalnej, nie zaś z konkretnem ujęciem zasadniczych i aktualnych spraw ekonomicznych. Nic przeto dziwnego, iż dzieła takie na czytelników nie działają, zwolenników za sobą nie wodzą i bynajmniej bronią w walce o zwycięstwo nasze nie są, bo być nie mogą dla swej nieuchwytności. Brak we współczesnej myśli społ.-chrześcijańskiej programów jędrnych i konkretnych. Wiemy, czem są zasady, czem jest etyka, i dużo i silnie o niej mówić musimy, ale niemniej dokładnie wiemy, że bez uwzględnienia życia organi-

zacyjnego społecznego w jego przejawach przyrodzonych, powiedziałbym, przyrodniczych nie ostaniemy się wobec zalewu socjalistycznych i komunistycznych programów. Mógłby nam kto zarzucić, że w ten sposób poddajemy się naporowi „przyrodzoności“, która przecież, odrzucając pierwiastek nadprzyrodzony, jest fałszem! Odpowiemy zwięźle: Ta przyrodzoność rozwoju społecznego jest dziełem Bożem — to jedno; po drugie, nam katolikom niewolno zdala—wedle starej recepty — trzymać się od współczesnej wiedzy socjologicznej i znów zezwolić, aby nowy a w przyszłości niewątpliwie decydujący przedmiot naukowy rozwinął się bez naszego udziału, Właśnie brak w rozumowaniach katolików, w ich dyskusjach, ducha indukcyjnego usunął wszelką platformę porozumienia pomiędzy nami a wrogim nam światem.

... Nam tak się marzy, że Królestwo Boże, o które codziennie modlimy się gorąco, zbliżać się powinno, jeno rękawów zakasać i ochoczo wziąć się do pracy. Katolicyzm — to siła, moc, prawda. i jako taki do nas przemawia, nas nęci, nas do siebie przykuwa. Niema wśród nas mowy o przytulaniu się do Kościoła, o ucieczce przed światem złym i zepsutym, nie w chwilach depresji staje On przed nami jako ukojenie — my tych stron katolicyzmu bynajmniej nie lekceważymy, atoli widzimy w nim przedewszystkiem moc i potęgę twórczą życia nowego. Dziś nie rzewne uczucie, nie liryczny zachwyt, jeno stalowe dźwięki surm bojowych wszędy się rozlegają. My, młodzież katolicka, tu prym dzierżyć chcemy! Zwycięstwo po stronie naszej!

..., Wszystko to piękne i bardzo słuszne, ale czyżbyśmy w imię konsekwencji do gruntu, do ostatnich krańców nie sięgnęli? I oto w statucie „Odrodzenia” obok umysłowego podkreślono z naciskiem i wyrobienie *moralne*. Bo czyż możliwe jest odrodzenie świata bez odrodzenia jednostki? Sanacja stosunków międzynarodowych i narodowych do pewnego stopnia może być przeprowadzona na drodze reform i mechanicznych ulepszeń, istoty nie dotknie dopóty, dopóki dusza indywidualna nie rozpocznie pracy nad sobą. Katolicyzm ma to głębokie zrozumienie i dlatego jest Drogą, Prawdą i Życiem, dlatego też trudy przez niego podejmowane są szczere i uczciwe. W świetle tej prawdy w całej jasności występuje słuszność tego zdania Dillon'a o członkach Konferencji Pokojowej: „Z wyjątkiem

gorliwych[1]) Katolików i kilku poważniejszych sekciarzy, było niewielu tych, którzy dążyli do czegoś istotnie lepszego", („Konferencja pokojowa p. 3"). Pominąwszy tych kilku tylko sekciarzy, zwracam uwagę na to, co ta opinja zawiera: jest tu mowa o *wszystkich gorliwych* Katolikach. Zupełnie zrozumiałe. Katolicyzm bowiem, to głęboka wiara w Odkupienie przez Mękę Krzyżową, przez Ustawiczne Przebywanie Jezusa Chrystusa wśród nas. Wysiłki podjętę nad odrodzeniem świata idą po linji Jego wskazań, a zatem wszelka obłuda, wszelka powierzchowność — to obraza Boga, to Sączenie z Ran Jego Krwi Przenajświętszej. Katolik konsekwentny musi być szczery i duszę swoją musi wkładać tam, gdzie chodzi o odrodzenie ludzkości. Zastanówmy się jeno nad bezmiarem miłości bliźniego i miłości Boga w publicznych i prywatnych modłach o nawrócenie grzeszników, o zgodę między państwami itp. Z drugiej strony ta uczciwość w pracy katolickiej nad odrodzeniem świata płynie stąd że konsekwentny katolik wszelką sprawę podejmuje na większą chwałę Bożą, tej zaś nie będzie, gdyby innych pobudzał do pracy, a sam w tyle pozostawał. Wprawdzie są ludzie, którzy żyją dla katolicyzmu, ale nie katolicyzmem, którzy bardziej kochają i bardziej się troszczą — choć to brzmi dziwnie — o sprawę katolicką, niż o Chwałę Bożą, aczkolwiek jedno z drugiem w istocie ściśle się ze sobą wiąże. Tak, taka niekonsekwencja nieraz spostrzedz da się — ona też właściwie nie dopuszcza do osiągnięcia pożądanych rezultatów. Wszelako przed *gorliwym* katolikiem ustawicznie widnieją te miłościwe słowa Jezusowe: „Bo cóż pomoże człowiekowi, choćby wszystek świat pozyskał, a szkodęby podjął na duszy swojej. Albo co za odmianę da człowiek za duszę swoją?"

(Mar. VIII, 36, 37). *Władysław Lewandowicz.*

Przyrodnicy wobec religji.

Jednem z najciekawszych zjawisk, niezwykle wymownych dla zorjentowania się w psychice ludzkiej, jest jej stosunek do religji. W dobie najgorętszej wiary religijnej, w wiekach VIII—XIII na powierz-

---

[1]) Podkreślenie moje.

chni życia kościelnego od czasu do czasu występują poszczególni ludzie o wrogim stosunku do religji. Dla jakich powodów? Ot, wydaje mi się, jeżeli badania naukowe tu dotrzeć potrafiły, w duszach tych osobników rodziło się jakieś przedziwne pożądanie samodzielności, pragnienie całkowitego uniezależnienia się, harde i twarde nieuginanie karku, słowem bunt względem istoty Najwyższej. To byłby jeden powód. Drugi zaś — to jakieś pogrążanie się panteistyczne w przyrodę, zlewanie się z Matką-ziemią, uwielbianie świata dla świata, umiłowanie ludzkości dla niej samej. Z tem się częstokroć wiązał kult żywiołowego erotyzmu.

Wszelako ani jeden, ani drugi powód nie zabiegał o systematyczne ułożenie swych zasad, o teorytyczne ujęcie stosunku swego do religji. Mieliśmy wtedy do czynienia z ludźmi czynu, z ich codzienną praktyką.

Ale nadszedł wiek XV, a z nim napłynęła na Europę Zachodnią fala filozofji i kultu pogańskiego. Jednocześnie kształtować się poczęła teorja naukowa. Przy jej narodzinach popełniono za strony hierarchji kościelnej kilka fałszywych posunięć, acz przyznać trzeba, iż nowość owa otulona duchem buntu i niezależności nie mało też zawiniła.

Z poza chrześcijanina zaczyna występować *człowiek*, z poza pobożności — sztuka i wiedza, prawo i bogactwo jednostki, obok myśli o życiu wiecznem zadanie życia ziemskiego, wszechstronny rozwój przyrodzonych władz duchowych" (Falckenberg „Historja filozofji nowożytnej„ str. 12). Upajano się tą nową orjentacją i w tem upojeniu zapędzano się tak daleko, że zgoła zapominano o dorobku cywilizacyjnym wieków ubiegłych. „Tak nagle i z taką gwałtownością obudziło się zamiłowanie do wiedzy, że wyobrażano sobie w poczuciu własnej dumy, jakoby żadne z poprzednich stuleci nieznało prawdy i miłości dla niej" (Falckenberg, ibd. str. 9). Był to jednak nastrój, usposobienie psychiczne — o systematyce poglądów nikt jeszcze nie mówi, ani nie pisze. Po Reformacji, po tylu tak smutnych wypadkach ducha religijnego, po tylu przykładach zupełnego i bezkarnego z nim zerwania, ateizm począł wzrastać coraz potężniej, z dnia na dzień, aż do swego rozkwitu w XVIII w. Atoli czy są dostateczne dane, aby materjalizm tych czasów utożsamiać z materjalizmem XIX st. Nie, zgoła odmienny był sposób ujmowania stosunku do wiary. Zapewne, najsilniejszym argumentem zawsze były nauki przyrodnicze, te jednak tak głęboko tkwiły w teorjach filozoficznych i społecznych, iż w wywodach materjalistów owych czasów czystej nauki o przyrodzie dopatrzeć się niepodobna. Rozpowiadano wtedy o wdarciu się „słońca", „światłości" w życie umysłowe, o zamieraniu „ciemności", „mroków" itp. Dopiero XIX w. przynosi i też nie odrazu, argumentację, rzekomo opartą na czystem przyrodoznawstwie. Nauka staje

się wtedy potęgą duchową, ba, bożyszczem. Ona przecież jest prawdą i mocą. W niej kryje się rozwiązanie tajemnicy bytu. Jesteśmy w pełnym rozkwicie kultu dla nauki, dla wiedzy ludzkiej. Nic przeto dziwnego, że niewiara uchwyciła się tej odnowionej, a właściwie przerobionej broni i z energją, pewnością i dumą wywijać poczęła na wszystkie strony. Przez Europę, przez cały świat przebiegło hasło: uczeni, prawdziwi, *trzeźwi i bezstronni* uczeni nie wierzą, bo wierzyć nie mogą, gdyż atmosfera religijna nakłada pęta na wolną myśl badacza, krępując go swemi orzeczeniami dogmatycznemi i rozporządzeniami kościelnemi. Najciekawsze, że hasło to stało się wnet przekonaniem szerokich mas społecznych i dziś podświadomie tkwi nieomal w duszy każdego inteligenta.

Jak to się stało? Gdzież są dowody? Boć wystarczy przejrzeć nazwiska rzeczywiście wielkich uczonych do XIX w., aby się przekonać, że wśród nich niema wprost ani jednego, któryby głosił niewiarę w imię swych przekonań naukowych. Nie ulega bowiem wątpliwości, że tacy uczeni, tacy twórcy i geńjusze jak Kopernik, Galileusz, Keppler, Newton, Hughes, Descartes, Leibnitz i wielu innych, byli ludźmi głęboko religijnymi. Nasuwa się przeto myśl, że opinję o niezgodzie ducha twórczego z duchem religijnym urabiali w ciągu wieków pomniejsi uczeni — przetwórcy, a zatem ci, którzy albo zupełnie nie mają prawa zabierać głosu w kwestjach naukowych, albo przynajmniej bardzo nieznaczny. Fakt ten świadczyłby, jak dalece opińja świata nie jest wrażliwą na istotne wartości, jak natomiast uległa temu, co błyszczy, co „gardłuje — mimo iż co chwila daje się słyszeć z jej strony, że jeno prawda ma do niej dostęp.

Przystąpmy więc do sprawdzania. Dwie drogi. Jedna — to rozważania filozoficzne nad stosunkiem wiary do nauki. Trzeba tu wniknąć w ducha nauki, w jej metodę, w jej stawiania i rozwiązywanie zagadnień. Droga to jednak żmudna i tylu wymagająca założeń, że w gruncie rzeczy niezawsze jest przydatna.

Druga — to wiadomości historyczne o uczonych, przez których i w których rzeczywiście skupia się cały wysiłek naukowy. Wszak gdy mówimy o atmosferze naukowej, o jej stosunku do wiary, gdy troszczymy się o zdolności do twórczej pracy badawczej, to przenosimy się na grunt całkiem *psychologiczny*. A ileż to przyczyn tu działa? Nauka — rozważania naukowe, jej metody i jej cele, jej postulaty i hypotezy, jej fakty stanowią pewną całość organiczną, która istnieje w psychice poszczególnego badacza jako twór, który on miłuje i dla którego życie swe poświęca. Nic przeto dziwnego, że ta druga droga jest bardziej demonstratywna i przekonywująca.

Szczęśliwie się przeto składa, że w europejskiej literaturze pojawiła się książka Ant. Euymien'ego p. t. *Le part des croyants dans les progrés des sciences pendant XIX siècle*". Wprawdzie mieliś-

my już studjum Kneller'a „O chrześcijaństwie i przedstawicielach nauk przyrodniczych", jednakowoż dzieło Euymien'ego przekracza je zarówno gruntownością jak i bogactwem informacyj oraz metodą. Autorowi bowiem nie chodziło o zebranie nazwisk uczonych, którzy się pod pióro nasunęli, lecz tylko o tych, którzy bezspornie uchodzą w nauce współczesnej przyrodniczej za *twórców*, za początkodawców, inicjatorów, a zatem o tych, u których najpewniej zasięgnąć można dokładnych informacyj, czy i w jakim stopniu duch religijny utrudniał im twórczą pracę naukową.

Oto statystyka.

Na 432 (czterystu trzydziestu dwu) uczonych, wymienionych przez Euymien'ego jako należących do XIX st., z zbraku dokumentów nic powiedzieć nie możemy o zapatrywaniach religijnych 34 (trzydziestu czterech). Oto ich nazwiska: *Legendre, C. G. J. Jacobi, Lee, C. Herschel, Newcomb, Carnot, Stephenson, Kirchhoff, Malus, Wollaston, Seebeck, Coulomb, M. H. von Jacobi, Wheastone, Hughes, Gramme, Petit, Berthollet, Mitscherlich, Laurent, Kékulé, Frankland, Hofmann, Roscoë von Buch, Mohl, Kölreuter, Kölliker, Meckel, Purkinje, Duchenne, Cagniard, Devaine i Jenner.*

Piętnastu (15) zaliczyć wypadnie do rzędu agnostyków lub obojętnych: *Poincaré, Lagrange, Galois, Bunsen, Vän't Hoff, Moissan, Nägelli, Van Tieghem, du Bois — Reymond, Romanes, Broca, Broussais, Corvisart, Koeberlé* i *Darwin.*

Z pozostałej liczby tylko 16 (szesnastu) przyznało się do niewiary: *Tyndall, Lumière, Curie, Berthelot, Suess, Giard, Haeckel, Strasburger, Leuckhardt, Raspail, Magendie, Büchner, Molechott, Vogt, Charcot i Bernheim.*

A zatem stosunek liczbowy, po odtrąceniu agnostyków i tych których przekonań religijnych nie znamy, tak się przedstawia **383 : 16.** Zdaje się — nikt zaprzeczyć nie zdoła — imponujący argument, wykazuje bowiem fałsz komunału, że nikt z uczonych nie był wierzącym. Ale nietylko ilościowo, lecz i jakościowo słuszność nie po jego stronie. Z pośród powyższej liczby 432 uczonych niezaprzeczenie **150** zasługuje w całej pełni na nazwę inicjatorów i twórców. Euymien ugrupował ich wedle głównych dziedzin ich pracy naukowej. Wyliczenia jego są następujące:

9 — w dziedzinie matematyki: *Gauss, Cauchy, Poincaré, Lagrange, Abel, Galois, Riemann, Weierstrass i Hermite;*

2 — w dziedzinie astronomji: *Laplace i Le Verier;*

23 — W dziedzinie fizyki — z tych **11** w nauce o cieple: ***Seguin, Mayer, Joule, Colding, Hirn, Sadi Carnot, Helmholtz, Clausins, Kelvin, Fourrier, Régnault,*** — **5** zaś w nauce o świetle: ***Young, Fresnel*** **przedewszystkiem**, później ***Fraunhofer, Fizeau, Foucaud,*** — a **7** w nauce o elektryczności: ***Volta, Oersted, Ampère, Faraday, Maxwell, Hertz i Becquerel.***

25 — W dziedzinie chemji: *Dalton, Gay-Lussac, Avogardo, Dulong, Petit, Berzélins, Priestley, Berthollet, Vauquelin, Davy, Mitscherlich, Dumas, Laurent, Gerhardt, Wurtz, Kékulé, Thénard, Chevreul, Wöhler, Liebig, Sainte-Claire Deville, Berthelot, Bunsen, Roscoë i Gibbs;*

9 — wogóle w naukach przyrodniczych: *Cuvier, Lamarck, E. Geoffroy Saint-Hilaire, Owen, Van Beneden, J: Müller, Darwin, Cl. Bernard, Pasteur;*

24 — w dziedzinie nauk o ziemi: *Humbold, von Buch, Buckland, Al. Brongniard, Lyell, Elie de Beaumont, Bertrand, Suess, Stoppani, d'Omalius, Dana, Werner, Mallard, d'Orbigny. Barrande, Agassiz, Heer, Cope, Zittel, i Gaudry;*

1 — w dziedzinie biologji: *Barthez;*

13 — w dziedzinie botaniki: *de Jussieu, de Candolle, Schleiden, Mirbel, Mohl, Nägelli, Strasburger, Van Tieghem, Koelreuter, Sprengel, Sachs, Mendel i Naudin;*

4 — w dziedzinie zoologji: *Latreille, Fabre, Dugès i Blumenbach;*

13 — w dziedzinie anatomji: *Bichat, Schwann, v. Baer, Purkinje, Coste, Meckel, Retzius, de Blainville, Gratiolet, Eschricht, Carus, Serres i Gervais;*

13 — w dziedzinie fizjologji: *Magendie, Flourens, Bell, Tiedemann, Volkmann, H. Milne-Edwards, Ludwig, de Cyon, Esquirol, Duchenne, Charcot, Cabanis i Bérard;*

8 — w dziedzinie medycyny: *Broussais, Rostan, Laënnec, Bayle, Dupuytren, Récamier, Andrali, Cruveilheur* (wszyscy ze szkoły tylko francuskiej, nie uwzględniając innych narodowości);

6 — w dziedzinie chirurgji: *Gimpson, Lister, Terrier, Bergmann, Pe'an i Koeberlé.*

Z tych 150 uczonych o przekonaniach 13 niewiadomo: Carnot, Petit, Bertholet, Mitscherlich, Laurent, Kékulé, Roscoë, von Buch, Mohl, Kölreuter, Meckel, Purkinje, Duchenne — 9 było agnostyków lub obojętnych: Poincaré, Lagrange, Galois, Bunsen, Nägelli, Van Tieghem, Broussais, Koeberlé i Darwin. — Wykluczywszy więc tych tu wymienionych mamy liczbę **128** uczonych, którzy zajęli wyraźne stanowisko wobec religji, — w tem **123** *wierzących*, a tylko... 5 ***niewierzących**: Bertholet, Suess, Strasburger, Magendie i **Charcot***[1]), **a więc zaledwie 4%.**

Wobec tego faktu zamilknąć musi niewypowiadany, ale w głębi duszy hodowany zarzut, że wierzący uczeni ustąpić muszą uczonym niewierzącym tak co do głębokości i trzeźwości myśli, jak i co

---

¹) Euymien nie wymienia tu Haeckl'a, ponieważ żył on jeszcze, gdy I wydanie opuściło prasę. O Haecklu patrz № 1 „Prądu" z r. 1920.

do konsekwencyj logicznych. Niepodobna bowiem ani na chwilę odmówić jasności, trzeźwości i wszechstronności przy jednoczesnej wprost olśniewającej bystrości umysłu takim genjuszom XIX w., iak Cauchy, Hermite, Weierstrass, Le Verrier, Lord Kelvin, Fresnel, Ampère Faraday, Maxwell, Barzélins, Dumas, Chevreul, Thénard Cuvier, ks. Häny, ks. Mendel, Bichat, Laënnec, Pasteur. Nic przeto dziwnego, że wielki fizyk ostatniej doby lord Rayleigh jako przewodniczący kongresu „Angielskiego Towarzystwa dla popierania wiedzy" mógł się wyrazić w ten sposób: „Szkoda czasu na zbijanie frazesu, że przekonania religijne, którym przecież wierni byli przez całe swe życie taki Newton, Faraday lub Maxwell, nie godzą się z duchem naukowym".

Bo i rzeczywiście, coby się stało z wiedzą ludzką, gdybyśmy usunęli wierzących uczonych? Coby się stało gdybyśmy zlekceważyli rezultaty ich pracy? Z nauk takich jak mikrobiologja, seroterapja, anatomja, biologja, krystalografja, mineralogja, paleontologja, elektryczność i elektromagnetyzm światła, termodynamika *nie pozostałoby nic absolutnie*. W innych zaś dziedzinach musielibyśmy wrócić do czasów wprost barbarzyńskich, np. w chirurgji do epoki dokonywania operacji wśród krzyków bólu i najczęściej wyprzedzającej o kilka zaledwie godzin pogrzeb pacjenta; w medycynie używać musielibyśmy osławionej metody Broussais'ego, który aplikował ustawicznie i powszechnie puszczanie krwi. Wrócilibyśmy — z wyjątkiem kilku mało znaczących zdobyczy — do czasów Arabów, w fizyce zaś do Arystotelesa, w astronomji do Chalcedończyków. Gdzież byłyby nasze telegrafy elektryczne po drucie i bez drutu, pod ziemią i pod morzem? A coby się stało z naszem oświetleniem elektrycznem? A nasze dynama, maszyny parowe, koleje, okręty, tramwaje, — wogóle nasz przemysł? I cóż pozostałoby ze wspaniałego postępu cywilizacji?

Nauka więc w swych najwybitniejszych przedstawicielach przedziwnie godzi się z religją, w niej bowiem odnajduje swe uzupełnienie i twórcze bodźce. Ciśnie się przeto pytanie: jakim prawem, w imię jakich faktów rozpowszechniło się twierdzenie, że uczony nie może być wierzącym, a człowiek religijny, np. konsekwentny katolik, nie może być rzetelnym badaczem naukowym? I znów odpowiedzieć trzeba, że stało się to dlatego, że niektórzy uczeni — najczęściej zwykli przetwórcy, pod żadnym względem nie dorównujący owym nieśmiertelnym geniuszom, gwałtem i krzykiem, bez powagi i skromności uczciwego badacza swe przekonania filozoficzne, przyczepione sztucznie do wywodów naukowych; wciskali w głowy inteligentów, chętnie słuchających o niewierze, bo to już tak odwiecznie się dzieje, że szuka się argumentacji przeciwko religji, gdyż w ten sposób dzieje się upust przyrodzonej, a w dobie bieżącej nawet podtrzymywanej skłonności do lenistwa duchowego.

Tak więc, „miłośnicy prawdy”, dla której wyrzekają się — no, bo jak twierdzi, wyrzec się muszą — religji, w gruncie rzeczy wikłają się w najelementarniejszym fałszu. Wywody Euymienego tak są jasne, iż, sądzę, przekonać potrafią o słuszności tego skromnego wniosku, że nauka najzupełniej dobrze rozwijać się może w atmosferze religijnej. Wprawdzie są takie spaczone umysły, którym liczba 34 uczonych nieznanych co do swych przekonań religijnych oraz 15 agnostyków i 16 ateuszów niewątpliwie dużo sprawiać będzie kłopotu, ustawicznie budzić powątpiewania i stawiać pytania. Dla takich ludzi — chorych na niemoc wyboru, decyzji, lekarstwa niema. Oni pofrafią dla jednego nazwiska uczonego niewierzącego, być może w niniejszych wywodach zapomnianego a im się nasuwającego, zapomnieć o istnieniu całych dziesiątków i setek wielkich uczonych wierzących, o których pamiętać trzeba, że są oni luminarzami ostatniej doby, ludźmi nawskroś naszymi, dzisiejszymi. Można byłoby wiele jeszcze poczynić uwag nad psychologją współczesnej niewiary, tem samem współczesnej umysłowości. Niejedną dałoby się wyśledzić niekonsekwencję, niejedno tchórzostwo i obłudę! Ale przejdźmy do naszych polskich stosunków. Orjentacja u nas w ostatnich latach poczęła się na dobre poprawiać; jako dowód wskazuję na nasze Wyższe Zakłady naukowe. Przyglądając się bowiem dzisiejszej młodzieży akademickiej i zestawiając ją ze studentami — przyrodnikami z przed laty 20 niepodobna nie zauważyć wybitnej różnicy. Młodzież niezwykle łatwo poddaje się wpływom profesorów, na jej duszy wrażliwej każde zdanie uczonego wnet żłobi ślad, powoduje wibracje i wstrząśnienia. O czemże więc ci młodzi przyrodnicy rozprawiają? Nie ulega wątpliwości i wiele wśród nich zapału do wiedzy, wiary w mikroskop i lancet, nadziei, iż wydrze się naturze jej tajemnicę. Wśród debat i sporów częstokroć zjawia się, bo tak być musi — wszak młodzież kształtuje swój pogląd na świat — zagadnienie religijne. I cóż? Jak się akademicy ci odnoszą do religji? Oto zniknął już ów ton pewności siebie, już dziś nikomu przez myśl nie przebiega, ażeby w labolatorjum wytworzyć żywą komórkę. w rozumowania wdarł się jakiś sceptycyzm względem faktów, boć to one tak niewiele mówią. Ileż to razy słyszy się: No, tak, to są fakty, do nich dodamy nowe, i cóż z tego, jaki wniosek? Skąd się wzięło to niedowierzanie? Otóż z wyżyn katedr uniwersyteckich wieje wiatr ochładzający zapędy pewności, zaufania we wszechpotężną moc nauki, która wedle tylu zapewnień miała zapanować wszechwładnie nad życiem i dyktować mu prawa. Uczeni nauczyli się po smutnych doświadczeniach drugiej połowy XIX w,, iż, naukowemi badaniami trzeba obchodzić się ostrożnie, nie kwapić się z wnioskami — to najlepsza i najpewniejsza droga: powierzyć się opiece przemądrego Czasu. Tyle przecież runęło gmachów przeróżnych teoryj. Rozwinięta nadto i udoskonalona metoda

naukowa, już w znacznej mierze, uświadomiła, gdzie leży kres dociekań i doświadczeń, ukazała na jakich podstawach opierają się umiejętności — te najpewniejsze — przyrodnicze! Nauczyła skromności.

I mimowoli nasuwa się pod pióro stare, ale słuszne zdanie Bacona z Werulamu: „Mało wiedzy odwodzi od Boga, wiele zaś napowrót do Niego prowadzi".

Marjan Gerlach.

KOMPOZYCJA MALARSKA W „LEGIONIE" WYSPIAŃSKIEGO.

(Studium).

„Kiedy przychodzi pierwsza myśl jakiejś kompozycji" — pisze Wyspiański w liście do Maszkowskiego [1]) „należy zaraz siąść do pisania i zacząć ją opowiadać. Wtenczas jej zarysy występują wyraźniej przed nami, te lub owe postacie zaczynają naprawdę panować w naszej imaginacji, widzi się je długi czas, na każdym kroku, wszędzie gdzie się jest, uczuwa się jej wpływ magiczny, zjawia się ona skończona, zupełna, jakby już wymalowana, choć jeszcze tylko w krainie myśli się błąka".

Wiele kompozycji scenicznych Wyspiańskiego robi rzeczywiście wrażenie, jakgdyby były opowiadaniem jakiegoś pomysłu obrazu. Upewnia nas w tym przypuszczeniu nadzwyczajna wyrazistość postaci, otoczenia i perspektywy, kolorystyczne zestawienie barw i światła. Całe sceny są tylko jakgdyby osnową i rozwinięciem jakiejś myśli zasadniczej, jednej jakiejś pierwotnej koncepcji czysto malarskiej. Wrażenia tego nie przesłania nawet tok akcji, ani symbolika i głębia myśli w niej zawarta, albowiem wszystko to jest jakgdyby „opowiadaniem" kompozycji malarskiej, Utwory sceniczne Wyspiańskiego składają się często z obrazów mniej lub więcej wyraziście „opowiedzianych", a dziełem, będącem szeregiem takich obrazów najbardziej wykończonych oraz posiadającem największą ich ilość, jest niewątpliwie „Legion". Charakterystycznem jest przytem to, że scena jako całość stanowi obraz, który dopiero stopniowo się kształtuje.

[1]) Lamus 1910. II. str. 380. List z 1-go października 1891 r.

— „Obraz jest punktem wyjścia teatru Wyspiańskiego... który jest tylko rozszerzonym i urzeczywistnionym zapomocą sceny malarstwem" — pisze Brzozowski. [1])

Ażeby ustalić kryterja oceny obrazów scenicznych, należy zbadać, co Wyspiański rozumiał przez kompozycję malarską. Wskazówkę w tej mierze znajdujemy w jednym z jego listów do Karola Maszkowskiego w słowach następujących:

„Przez kompozycję rozumiem kolory i ustawienie światła, a nigdy kompozycję rysunkową". [2])

Wyspiański w kompozycji widział nie kształt, ale przedewszystkiem barwę i światło jako zasadnicze jej elementy, poza którymi mamy szereg innych, ściśle ze sobą powiązanych, lecz zawsze od barwy i światła zależnych. Kompozycję rysunkową traktuje on jako podrzędną, oczywiście w najpierwotniejszem stadjum kompozycji malarskiej. Wykonanie obrazu jest nie do pomyślenia bez pewnej kompozycji rysunkowej, będącej technicznem ujęciem myśli. W obrazie scenicznym natomiast nie może być o niej mowy. Zarysy jej mogą być jednak mniej lub więcej konkretnie określone. Tymczasem Wyspiański pozostawia te zarysy niemal w zupełności fantazji reżysera. Najkonkretniej jest jeszcze oznaczone tło, przez dokładną jego lokalizację, jak n. p. Forum Romanum lub Kapitol. Pozatem zaznacza Wyspiański tylko pewien ogólny całokształt wrażeniowo-malarski, którego szczegóły są dowolne, zależnie od indywidualności jednostki odbierajacej te wrażenia. W tym też tkwi trudność zrekonstruowania obrazów scenicznych na podstawie wskazówek często pobieżnych, danych w inscenizacji przez Wyspiańskiego,

Nie wszystkie sceny „Legionu" są zarazem kompozycjami malarskiemi. W wyeliminowaniu obrazów scenicznych kryterjum stanowić muszą owe najistotniejsze elementy kompozycji malarskiej w pojęciu Wyspiańskiego, a więc barwa i światło.

Pierwszym takim obrazem jest scena II-a. Wskazówki dane przez autora są następujące:

„Katakomby. Ze środkowej jakby kaplicy, słabo oświetlonej kagańcem, rozchodzą się długie korytarze we wszystkie strony podziemia". (str. 17)

Mamy więc podane tło podziemnej groty, w której ścianach znajdują się wyloty długich korytarzy, gubiących się w mroku i dali, a zarazem i oświetlenie zapomocą kagańca, słabe i nierównomierne, dozwalające kłaść się długim cieniom na ścianach i na ziemi, uwypuklające postaci przez światłocień kontrastowy. Postacie Wyspiański wprowadza niebawem:

---

[1]) „Stanisław Wyspiański jako poeta" — Warszawa 1903 — str. 104. 108.
[2]) Lamus 1910. II. str. 360—list z 26 sierpnia 1891 r.

„Wchodzą gromady chłopów w podartych postrzępionych sukmanach, uwalanych błotem i krwią; oczy ich zawiązane, w rękach kosy, włóczące po ziemi, idą szukający drogi przed sobą w ciasnocie podziemiu. Śród nich: Fortuna, dziewka kraśna. trzymająca konew dużą, pełną napoju, konew tę do ust im przychyla". (str. 21).

„I garną się do dzbana i od dzbana ze wstrętem się cofają; upadający, chwytają rękami po ścianach". (str. 24).

Naszkicowane tu są w ogólnym ruchu postacie gromad chłopów, zwróconych z wyciągniętemi rękoma, lub cofających się ze wstrętem od konwi z napojem, którą trzyma Fortuna i do ust im przychyla. Ujęty jest w zarysie tragiczny wygląd chłopów, zaś postać Fortuny określona jest tem jednem: „dziewka kraśna". Przypuścić można, że ją Wyspiański pojmował jako kraśną, wiejską dziewoję, gdyż trudno sobie mitologiczną postać Fortuny wyobrazić z konwią raczej niż z tradycyjnym rogiem obfitości. Jest to jedno z tak charakterystycznych dla Wyspiańskiego przeniesień motywu antycznego na grunt wsi polskiej. Barwy żywe sugerują stroje wiejskie, dalej epitet Fortuny oraz wzmianka o plamach krwi na sukmanach, jak również na ścianach i ziemi, co zaznaczone jest już poza scenarjuszem:

„. . . Na murach strugi krwi, pod stopą krew". (str.24).

Przejdźmy do obrazu następnego sceny III-ej; tłem jest:

„Colosseum w księżycowej nocy; wnętrze; na górnych ławach; dalekie arkady i ganki; półłuki w wyrzutach swych zamierzone i w ogromie swym, zdruzgotanych olbrzymów, zastygłe; bramy i szpalery architektury pokryte darnią mchów, chwastami, bluszczem; na gzemsach kołyszące, zczerniałe, wyschłe cyprysy. Na górnych ławach dwuch ludzi". (str. 25).

Jesteśmy we wnętrzu Colosseum. Na pierwszym planie górne ławy amfiteatru. Na dalszym arkady i ruiny potężnej architektury, omszałe już roślinnością, Całość oblana łagodnem, błękitno-sinem światłem księżyca, cieniującem przedmioty subtelnymi półtonami, oraz zmieniającem nieco perspektywe, zmniejszając pozornie odległość przedmiotów. Postacie dwuch ludzi odcinają się od tła, chociaż są zaledwie wspomniane. Teraz pojawia się postać główna:

„Z pod arkad występuje postać nadludzka, w ubiorze jakby ciosanym z kamienia białego; wnet pojawia się na ławach i podąża w kierunku, w którym się oddalają dwaj pielgrzymi". (str. 33).

Uwydatnia się ona wielką, jasną plamą na tle raczej zamglonem, gdy przeciwnie postacie pielgrzymów stanowią plamy ciemniejsze na tymże tle. Koloryt zlewa się tu z sinym tonem oświetlenia w całość harmonijną i nierozdzielną.

Zupełnie odmienny jest obraz sceny V-ej.

„Cela księdza Aleksandra Jełowickiego; bielona izba cicha;

przez małe okna u szczytu ścian: złota powódź słoneczna. Ksiądz zajęty pisaniem listów, wśród stosu papierów porozkładanych na stole i paru krzesłach obok; — posadzka ceglana, biały płócienny chodnik. Adam Mickiewicz uchyla drzwi i staje u progu". (str. 45).

Tłem są bielone ściany izby; oświetlenie łagodne i jasne przez „złotą powódź słoneczną", wpadającą przez okna u szczytu ściany. Barwy również jasne z przewagą koloru białego. Wyraźnie odcinają się od tego otoczenia ciemniejsze postacie Mickiewicza i księdza — ciemniejsze, bo przypuścić można, że Mickiewicz, jako pielgrzym był ciemno odziany, zaś wiemy, że ks. Jełowicki należał do zgromadzenia Zmartwychwstańców, noszących ciemne habity.

Dalszy obraz mamy w scenie VIII-ej.

„W kopule świętego Piotra, gdzie marmurowe kolosalne posągi: cesarzowej Heleny, rycerza Longina, niewiasty Weroniki. Litewskie boginki, świtezianki, guślarze, znachory, wiedźmy (starce i dzieci) przechylone o balustradę tamburu, patrzą ku zawrotnej przepaści kościoła; . . . dymy kadzideł, wonności palonych". (str. 73).

Tło stanowi wnętrze kopuły kościoła św, Piotra z otwierającą się pośrodku „zawrotną przepaścią kościoła", okoloną balustradą. O tę balustradę przechylony tłum litewskich bożków i boginek, wpatrzonych w przepaść spowitą w dymy kadzideł. Na ten szkic rzuca Wyspiański snop światła dopełniając po mistrzowsku kompozycji malarskiej:

„Z okien przeciwległych padają szerokie pasy promieni zachodzącego słońca", (str. 76). — A dalej znajdujemy wzmiankę, że promienie te są zabarwione purpurowo (str. 82). — Oświetlenie w ten sposób stworzone oblewa purpurą przedmioty w pasach promieni, podczas gdy przedmioty nimi nie objętę są jakgdyby sinym dymem kadzideł zasnute. Dopełnieniem obrazu jest zjawienie się Mendoga: „Mendog ukazuje się wjeżdżając na balustradę, do wnętrza". (str. 80).

Pomysł ten przykuwa nas swoją oryginalnością. Prawdopodobnem wydaje się przypuszczenie p. Sinki, gdy go wysnuwa z „Beniowskiego" (VIII. 497)[1]).

W scenie IX-ej wyróżnić należy dwa obrazy, bo chociaż główne zarysy pozostają w obydwu te same to jednak zupełnie odmienną jest ich kompozycja barw i światła. Pierwszy z nich przedstawia się następująco:

„Na Kapitolu; szerokie wschody wiodą w górę; widne w połowie, poczynają się z pośród krzewów laurowych, którym krzewem całe wzgórze ożywione. U szczytu pochyłości na tle ciemnych błę-

---

[1]) „Antyk Wyspiańskiego" — Kraków 1916 str. 111.

kitów wieczoru w gwiazdach, marmurowe pół-bogi, Dioskurowie: Kastor i Pollux, którzy chwytają rozszalałe konie Phoëbusa, zawieszone w powietrzu, jak dwie skały nad stokiem laurowego wzgórza. Przy pochodniach, przy chorągwiach tłum ludu wiedzie poetę polskiego, uwieńczonego złotą koroną tryumfatorów; ludom przewodzi Demos". (str. 83).

Tłem jest wzgórze Kapitolu, na szczyt którego prowadzą szerokie wschody. Sam szczyt ginie w cieniach nocy; tylko marmurowe posągi Dioskurów odcinają się wyraźnie od wyiskrzonych błękitów. W połowie wzgórza mroki nocy rozświetlają pochodnie, rzucając migotliwe blaski i wywołując kontrastowy światłocień uwypuklający postacie i wyjaskrawiający barwy bliżej nie określone. Przypuszczamy jednak żywą do pewnego stopnia grę barw w tłumie idącym z chorągwiami w pochodzie tryumfalnym. W drugim obrazie tło pozostaje to samo, ale tłum odchodzi:

„Porzucają sztandary, depcą, druzgocą, łamią i pozostawiają poetę w laurach samego nad ułamkami krzyżów i chorągwi". (str. 92).

Przypuścić należy, że tłum odszedł wraz z pochodniami, będącemi źródłem światła w obrazie poprzednim. Wzgórze zalega więc obecnie mrok, gaszący żywość i rozmaitość barw. Mickiewicz pozostaje sam nad ułamkami krzyżów i chorągwi. Zjawia się przy nim teraz Rapsod:

„starzec w łachmanach powłóczących, o masce twarzy podobnej Homerowi". (str. 92).

Również i w scenie X-ej mamy dwa obrazy; pierwszy z nich, to:

„Forum Romanum; nad rumowiskiem sterczą reszty kolumnad, żelaznemi obręczami spiętę; łuk tryumfalny Septima Sewera; dalej tylko bazy upadłych słupów i posągów; a na końcu wąwozu wielkich ruin majaczący łuk Konstantyna. Noc; przelatują chmury i raz po raz swiatło skrywają. Ognie wybuchające w coraz to innej części miasta, rozczerwieniają urwiska bazylik i rozpadłych kurji. Tłum obywateli, ludu, gawiedzi, masek, którzy całe forum zalegli". (str. 101).

Ruiny Forum Romanum są tłem obrazu. W dali giną one w ledwie majaczących zarysach łuku Konstantyna. Krwawe łuny rozczerwieniają ruiny, uplastyczniając zarazem przedmioty i postacie światłem kontrastowem. Forum zalega tłum barwny i różnorodny, Z kolei wprowadza Wyspiański postać główną:

„Caesara wóz zajeżdża półkolem, zawracając rydwanem; teraz widać, u kół wozu, postać kobiecą półzgiętą; skrępowaną powrozami". (str. 106).

Wyjątkowo dokładnie, wbrew zwyczajowi Wyspiańskiego, opisaną jest postać Caesara:

„... Caesar ma zestąpić z rydwanu;... Caesara maska o ry-

sach Napoleona I, tragiczna, nieubłagana; od głowy długi welon; całun śmiertelny, powłoka, w której cała postać, jak widmo; na głowie wieniec zczerniałych gałązek lauru i dębu". (str. 107).

W obrazie drugim zmienia się postać główna; miejsce Ceasara na rydwanie zajmuje szalejąca, rozpętana z więzów Wolność:

„Wóz pędzi miażdżąc tłumy przed sobą pędzi ulicą ruin — forum, aż znika poza łukiem Konstantyna... łuny pożarów; to chmury oblegają głąb, to księżyca blask pieści ruiny". (str. 114—115).

Kompozycja barwna pozostaje niezmieniona; występuje jednak pewien warjant w oświetleniu, stanowiący zarazem jeden z najsilniejszych kontrastów: to, przy krwawym blasku łun, przyświecające z pośród chmur blade światło księżyca.

Następny obraz znajdujemy w scenie XI-ej:

„Via Appia: długa, niekończąca się droga wśród grobowców, sarkofagów, stel rzeźbionych cmentarnych; cyprysy, jako grobów strażniki wierzby płaczące, których wyraźniejsze kształty gubią się w mroku wieczornym; krzaczyska ostów, pokrzywy zachwaszczają zaciszne ustronie wiecznego spoczynku... Wchodzi Mickiewicz z dwunastoma uczniami — legionistami,... ubiory ich pielgrzymie". (str. 117).

Jako tło—Via Appia, ginąca w odległej perspektywie. Barwy przytłumione mrokiem wieczornym, osłaniającym przedmioty. Jasne plamy stanowią marmury grobowców wśród czerniejących cyprysów. Sądzić należy, że takimi wyobrażał je sobie Wyspiański, gdyż, jak wiadomo, grobowce przy Via Appia są przeważnie z jasnego marmuru wykute. W otoczenie to wprowadza Wyspiański postacie Mickiewicza z dwunastoma uczniami — legionistami i grupuje je w sposób wielce charakterystyczny:

„dokoła powalonego sarkofagu jako przy stole: usiedli i pożywają". (str. 120).

Scena XII-a składa się znów z dwuch obrazów, analogicznie do scen IX-ej i X-ej:

„Noc nad wielkiemi wodami. Wody się kłębią od ciał, co w gwałtownym uścisku sprzężone, żreją się wzajem, szarpią, mordują. Na falach Łódź wielka, której maszt: krzyż z długiemi ramiony, a żaglem wielka płachta chorągwi białej na tej Vera Ikon Chrystusowej twarzy. Nad falami w powietrzu unoszą się skrzydlate Harpije, Zmory, Erinije. Wioślarze mają ręce przykute łańcuchami i kajdanami do wioseł i dylów łodzi. U masztu stoi Mickiewicz i dzierży pochodnię, wysoko nad wioślarzami". (str. 127).

Rozległe wody zlewają się z ciemnymi niebiosami w jedno tło. Błyski pochodni kontrastowym światłocieniem uwydatniają postać główną Mickiewicza oraz grupy wioślarzy, ciał skłębionych w otchłani wodnej i zmór napowietrznych. Żywość barw, wyjaskrawionych oświetleniem, spotęgowana jest znaczną ilością barwy czerwonej,

o czem wnioskować można ze znajdującej się poza scenarjuszem wzmianki o krwią płynących odmętach (str. 132), oraz o zbryzganej krwią łodzi (str. 131, 133).

W obrazie ostatnim zarysy kompozycji poprzedniej są zachowane. Pozostaje tło niezmienione, pozostają również postacie te same. Jednak wskutek podpalenia łodzi przez Mickiewicza, oświetlenie przez pochodnię zmienia się na purpurowy blask łuny; postacią zaś główną jest teraz Tanatos.

„Wśród łun pożaru widać Tanatos, jak kieruje sterem korabiu". (str. 137).

Ta „noc płomieniem czerwona", jak ją nazywa Wyspiański (str. 137), daje nadzwyczajną grę barw i światła w intensywnym tonie purpury.

Motyw dwuch ostatnich obrazów, parokrotnie w twórczości Wyspiańskiego powracający, to motyw łodzi Charona, przewożącej dusze zmarłych do Hadesu. P. Sinko pierwowzór jego widzi w Eneidzie (II, 285). [1]) — Poza „Legionem motyw łodzi Charona jest w kompozycję malarską rozwinięty w „Protesilas i Laodamii" oraz w „Powrocie Odysa". Najklasyczniej występuje on w „Laodamii, gdzie:

„... widać w mrocznych barwach jakby wielkie jezioro; spienione fale połyskujące wśród czerwieniejących głębi — łódź wielka płynie, a w niej stoi Charon z palącemi się oczyma i wiosłuje..." (str. 53).

W końcowej scenie „Powrotu Odysa" znów obraz podobny, jednak już nie Charon, lecz Hermes przewozi dusze zmarłych:

„... łyskawica rozwiera niebo u kresu wód — widać Łódź pełną ludzi i wielką postać ciemną Hermesa — stojącą u przodu łodzi". (str. 108).

W „Legionie" motyw ten przyobleczony jest w zupełnie odmienną formę. W pierwszym obrazie sceny XII-ej Charonem jest Mickiewicz, który do swych zaświatów wiedzie ludzi żywych wprawdzie, lecz już dla świata umarłych. Natomiast ciała, od których kłębią się wody, oraz straszydła w powietrzu się unoszące, są być może reminiscencją potępieńców dantejskich. Jeżeli „Barka Dantego" Delacroix nie była pierwowzorem sceny XII-ej, jak mylnie sądzi Potocki, według p. Sinki [2]), to nie jest wykluczonem, że pewien wpływ mogła jednak wywrzeć.

W obrazie ostatnim kieruje sterem korabiu Tanatos — jako personifikacja śmierci, będącej myślą zasadniczą kompozycji. P. Sinko dopatruje się tu reminiscencji z prologu „Alcesty" Eurypidesa [2]).

Poza tym motywem, powracającym zawsze jako obraz cały

---

[1]) „Antyk Wyspiańskiego" — str. 108.
[2]) „Antyk Wyspiańskiego" — tamże.

z pewnymi tylko warjantami, motywy mitologiczne wyrażone są najczęściej przez postacie. W kompozycjach scenicznych Wyspiańskiego, obok motywów mitologicznych, wyróżnić się dają: narodowe, dotyczące duchowego życia narodu; biblijne i podaniowe, często z dziejów Polski, czy też ze starożytności. Splatają się one w sposób niekiedy zupełnie nieoczekiwany. W obrazach scenicznych „Legionu" nie można stwierdzić przewagi żadnego z nich. Najmniej plastycznie występuje tu motyw narodowy (sceny II-a i IX-a). Co do podaniowego, to nie ma on wprawdzie przewagi w samych obrazach scenicznych, jednakże cały „Legion" jest nim przepojony, stanowiąc niejako nową legendę o Mickiewiczu. Najbardziej wyraziste może w całej naszej literaturze, w mesjanicznej szczególnie, tak obfitującej w motywy biblijne, Chrystusowe jest uplastycznienie takiego motywu w scenie XI-ej „Legionu". Sam temat Wieczerzy Pańskiej rzadko w literaturze występujący, wydaje się być oryginalnym, choć może tu pewną rolę odgrywać reminiscencja porównania przez Słowackiego w przedmowie do „Lambra" „szkoły De-la-Menistów" do „wieczerzy pańskiej polskich poetów".

Przejdźmy z koleji do zagadnienia, w jaki sposób urzeczywistnione są w kompozycji scenicznej zasadnicze jej elementy w pojęciu Wyspiańskiego. Zacznijmy od światła jako czynnika najgłówniejszego, nadającego wszystkiemu wyrazistość i spajającego szczegóły obrazu w jednolitą całość. Tylko światło daje wrażenie przestrzeni, będąc najbardziej psychicznym elementem obrazowania, gdyż oświetlenie stwarza charakter obrazu i wywołuje pewien nastrój pogody, fantastyczności, smutku, czy grozy. Wyspiański po mistrzowsku umie się nim posługiwać dla wywołania nastroju odpowiedniego.

Nastrój pogodny mamy tylko w scenie V-ej, a stwarza go oświetlenie łagodne, jasne, słoneczne — ta „Złota powódź" wpadająca przez okna u szczytu ściany. Sceny IX-a [1] i XI-a owiane są smutkiem, wywołanym oświetleniem równomiernem, matowem. Panuje tu mrok wieczorny, niemal namacalny przez cienie, przechodzące od łagodnych do najgłębszych. — W obrazach o nastroju fantastycznym (sceny III-a i VIII-a) mamy również oświetlenie równomierne, matowe o łagodnym światłocieniu, przeważa w nim jednak ton siny, jakgdyby mgłą marzenia osnuty. — W scenach wywołujących wrażenie ponurości lub grozy, występuje oświetlenie jaskrawe, nierównomierne, o światłocieniu wyrazistym i kontrastowym, uwypuklającym przedmioty i postaci. Wskazane jest wtedy wyraźnie źródło światła, jak: kaganiec (scena II-a), pochodnie (sceny IX-a [1]) i XII-a [1].) lub łuna pożaru, nadająca obrazowi ton krwawej purpury. (sceny X [1], [2] i XII [2]).

---

[1]) Lamus 1910. II str. 371. List do K. Maszkowskiego z 16 września 1891. Louvre.

[2]) Lamus 1910. II str. 360. List z 26 sierpnia 1891 r.

Niekiedy posługuje się Wyspiański innym efektem świetlnym, a mianowicie w przestrzeń równomiernie naświetloną rzuca snop promieni barwnych, jak purpurowe pasy promieni zachodzącego słońca w scenie VIII-ej. Podobnie i w „Wyzwoleniu" (akt III-ci) do wnętrza katedry padają smugi kolorowe w odcieniu złotawym promieni słonecznych. Raz jeden Wyspiański zastosowuje tę technikę do oświetlenia kontrastowego w scenie X-ej, stworzając wspaniałe zespolenie przeświecających z za chmur, łagodnych promieni księżycowych i krwawego oświetlenia przez łuny pożarów.

Obok światła najistotniejszym czynnikiem kompozycji malarskiej jest barwa, stanowiąca z nim całość harmonijną i nierozerwalną. Barwa związana jest z nastrojem przez światło, a pośrednio przez ton dominujący w kompozycji; tak, w scenie V-ej nastrój pogody wywołany jest przez barwy jasne z przewagą koloru białego (ściany, „biały płócienny chodnik", stosy papierów), zaś kolor biały identyfikuje się poniekąd z blaskiem promieni słońca. Widzimy więc, że światło i barwa są elementami równoważnymi, uzupełniającymi się wzajemnie. — Nastrojowi smutku w scenach IX-ej i XI-ej odpowiadają barwy łagodne, ciemne, harmonizujące z panującym mrokiem. W scenie III-ej barwy są może ściślej jeszcze zastrojone z oświetleniem. Jeżeli kolor biały wywołuje w mózgu wrażenie blasku, to niebieski daje wrażenie światła samego; tu więc niebieskawo-sine barwy, składające się na ton oświetlenia, stanowią część integralną światła księżycowego, podczas gdy jego blask uwydatniony jest przez białe ławy kamienne oraz przez białą postać Sławy, która, utkana jakgdyby z blasku miesięcznego, pomimo swej kamiennej posągowości, czyni wrażenie zjawy świetlnej.

— Oświetleniu kontrastowemu w obrazach ponurych i groźnych (sceny II-a X i XII) odpowiadają barwy żywe, jaskrawe. Wrażenie koncentruje się poniekąd w czerwonych plamach krwi na sukmanach chłopów, na ścianach i ziemi w scenie II-ej czy też w krwią zabarwionej topieli w scenie XII-ej. Barwa czerwona wywołuje w mózgu intensywne uczucie gorąca, pośrednio żywiołowości oraz związanej z nią grozy. Najwyższem przeto spotęgowaniem nastroju będzie opanowanie kompozycji przez purpurowy, krwawy ton oświetlenia, jak w scenach X[1], [2] i XII[2]. — W kompozycjach scenicznych Wyspiańskiego składniki wszelkie ześrodkowują się we wrażeniu, jakie daje całość, wrażenie to zaś wywołane jest zasadniczo przez światło i barwę.

Opanowanie kompozycji przez pewien ton polega na obecności jednego, lub większej ilości płatów kolorowych w tymże tonie [1]).

---

[1]) Lamus 1910. II str. 362. List do K. Maszkowskiego z 11 września 1891 r.

Lecz nie tylko ton polega na plamach barwnych. Wyspiański zasadniczo maluje plamami, czy to barwnemi, czy świetlnemi, starając się o to, aby główny efekt polegał na wrażeniu kolorystycznym nie drobiazgowym jednak, lecz na wielkich plamach barw. — Płaty kolorowe mają niekiedy za zadanie skupianie wrażenia na pewnych postaciach n. p. wielka, jasna plama białej szaty Sławy. — Wyspiański płaty barwne zastosowuje też i dla wywołania kontrastu. Tak w scenie III-ej na tle mglistym kontrast stanowią dwie wyraziste plamy ciemnych postaci pielgrzymów, w scenie VIII-ej zaś purpurowe pasy promieni słońca zachodzącego. Tak, w scenie XI-ej od mrocznych barw otoczenia odbijają jasne plamy kamieni sarkofagów. Analogiczny ciekawy kontrast spotykamy w „Laodamii"; tam mianowicie w widzeniu łodzi Charona: „spienione fale połyskują" plamami jasnemi „wśród czerniejących głębi".

Dalszym nieodłącznym czynnikiem obrazu jest tło. Jak pojmował tło Wyspiański? — W jednym z listów do Maszkowskiego czytamy:

„Na tle powinny być dalekie, bardzo dalekie pejzaże". [1]

Owe dalekie pejzaże w ścisłym znaczeniu zastosowuje Wyspiański w dziełach malarskich. Nasuwa się pytanie jak też rozwiązał ten postulat w swych obrazach scenicznych. Na pozór zdawaćby się mogło, że odstąpił od niego zupełnie, albowiem oprócz krajobrazowego tła w „Protesilas i Laodamii", nigdzie scena nie daje tła, które możnaby określić mianem pejzażu. Odstępstwo to jest jednak tylko pozorne, gdyż odnajdziemy zawsze w tle obrazów scenicznych ową najistotniejszą cechę krajobrazu — odległość, bez względu na to, czy tłem jest wnętrze jakieś, czy też przestrzeń otwarta. Jest ono zawsze odległe, niemal bezgraniczne, ginące w mroku, jak w scenach IX-ej [2] i XII-ej, lub rozpływające się ledwie majaczejącymi zarysami sinej dali (sceny III-a, X-a i XI-a). Co ciekawsze, nawet w kompozycjach o tle bliższem istnieje jednak przeczucie tła dalekiego, jak w scenie II ej, gdzie odległość nasuwają na myśl owe mroczne, „długie korytarze" katakumb, lub w scenie VIII-ej gdzie bliższe tło kopuły Świętego Piotra obramowuje niejako zawrotną przepaść kościoła w mgliste dymy spowitą. Dziwnie wyróżnia się scena V-a tłem bliskiem, jasnem, słonecznem. W swoim rodzaju jest ona unikatem w twórczości malarskiej Wyspiańskiego.

Tła nie oddaje Wyspiański nigdy techniką drobiazgową. Nie staje się ono wprawdzie nigdy tematem samoistnym, jest jednak tak ściśle z tematem samym kompozycji związane, że ten ostatni staje się niemal nie do pomyślenia w zespoleniu z tłem innem.

Obraz harmonizuje się zawsze z tłem nastrojem, a więc tajemniczością, rzecby można baśniowością w scenach III-ej i VIII-ej, smutkiem grobowym w scenie XI-ej, to znów ponurością, graniczącą z grozą, w scenach II-ej, X-ej, XII-ej, czy też potęgą i grozą znisz-

czenia w scenach X i XII. Harmonizowanie obrazu z tłem przyczynia się w ogromnej mierze do spotęgowania wrażenia, jakie daje całość kompozycji, a o to wrażenie chodzi zawsze Wyspiańskiemu najbardziej. Pisze on w jednym z listów:

„... o to nigdy nie chodzi jak co jest zrobione — tylko jakie robi wrażenie” [1]).

Tło jest jakgdyby dopełnieniem, a poniekąd i uplastycznieniem myśli zasadniczej obrazu przez wrażenie, jakie nam sugeruje. Na tem polega wartość tła gotowego. Tłem wszystkich kompozycji malarskich w „Legionie”, oprócz scen XI-ej i XII-ej jest Rzym. Już sama nazwa „świętego” i „wiecznego“ miasta wywołuje wrażenie potęgi i nastrój mistyczny. Wrażenie potęgi i ogromu czynią ruiny Koloseum, ruiny Forum Romanum, czy też Kapitol. Mistycyzm natomiast wieje z katakumb, z celi ks. Jełowickiego oraz z kościoła św. Piotra. Ten Rzym jednak, będący tłem „Legionu”, jest Rzymem Wyspiańskiego, jest takim, jakim on go widział przez pryzmat swej wyobraźni. Stąd też pewne nierzeczywiste szczegóły, poddane krytyce rzeczowej przez p. Sinkę: pisze on n. p.

„Rzymu Wyspiański nie znał dobrze, więc jego obraz Koloseum zawiera pewne szczegóły nierzeczywiste, jak białe, kamienne ławy, rzekomo zachowane na wszystkich piętrach, lub wyschłe cyprysy, kołyszące się na gzemsach” [2]).

Ta dowolność szczegółów nie pochodzi może o tyle stąd, że Wyspiański Rzymu nie znał dobrze, ile stoi raczej w związku z tem tak charakterystycznem u Wyspiańskiego kojarzeniem faktów i szczegółów bez względu na anachronizm lub niezgodność z prawdą istotną. W scenie III-ej Wyspiański nie pragnie nam dać fotografii ruin Koloseum, lecz przedstawia to swoje własne, wyśnione, czarowne Koloseum takiem, jakiem je widział w marzeniu.

Podobnie ma się rzecz z zastąpieniem posągów Dioskurów kapitolińskich reminiscencją posągów podobnych z Piazza del Quirinale w scenie IX-ej [3]).

Rozległość i nieograniczoność tła przyczynia się do uplastycznienia postaci, które sama ich obecność już dostatecznie odcina. Tło bliższe, ściślej określone, czyni Wyspiański płaszczyzną mało urozmaiconą dla większej wyrazistości postaci (Sceny II-a i V-a). Wyrazistość ich zwiększa się jeszcze przez to, że oprócz scen VIII ej, X-ej, XI-ej i XII-ej, gdzie postacie harmonizują z całością obrazu,ześrodkowują niejako w sobie wszystkie czynniki wrażeniowe, we wszystkich innych obrazach scenicznych w postaciach leży kontrast,

---

[1]) „Antyk Wyspiańskiego“, str. 109.
[2]) „Antyk Wyspiaskiego“, str. 111 — 112.
[3]) List do Maszkowskiego z 8 lipca 1891 — Lamus 1910. II str. 354.

czyto dwóch postaci względem siebie, (jak w obydwu obrazach sceny IX-ej: Mickiewicza i Demosa oraz Mickiewicza i Rapsoda), czy też kontrast postaci do całego jej otoczenia. Tak np. w scenie II-ej piękno, zdrowie i życie bijące z postaci głównej fortuny, stanowi olbrzymi kontrast do gromad tragicznych chłopów oraz chłodu śmierci, wiejącego z katakumb. Naodwrót, w scenie X ej, w całun śmiertelny spowita, tragiczna postać Caesara stanowi kontrast do wrzącego życiem otoczenia, do samego jej umiejscowienia na rydwanie zwycięzcy. W scenie III-ej dwie postacie pielgrzymów przeciwstawiają się jako coś realnego, żyjącego, tym ruinom przesłoniętym mgłą baśniowej tajemniczości. W scenie XII-ej natomiast uduchowiona postać Mickiewicza, żeglującego przez toń z pochodnią w ręku, spokojem swym odbija od tych wód przewalających się ciałami gwałtownie sprzężonemi, szarpiącemi sie wzajemnie. W scenie V-ej nakoniec smutna i zdradzająca rozterkę wewnętrzną postać Mickiewicza jest kontrastem do jasnego, cichego wnętrza celi ks. Jełowickiego.

Postacią główną obrazów scenicznych „Legionu" jest Mickiewicz (sceny V, IX1,2, XI, XII1), lub jakaś postać symboliczna, zaczerpnięta czyto z mitologji, jak Fortuna, Tanatos, czy też z fantazji Wyspiańskiego, jak np. Sława, Wolność, czy wreszcie z historji, względnie z podania, jak Mendog, lub Caesar.

O ile występuje większa ilość osób, to jest to zwykle tłum, w najcharakterystyczniejszych swych cechach tylko zaznaczony. O grupie w pojęciu malarskiem nie może tu być mowy z powodu braku kompozycji rysunkowej; możemy ją rozumieć jedynie jako pewną wyróżniającą się całość. Za taką uważać można dwunastu uczniów — legjonistów w scenach XI-ej i XII-ej.

Z pośród elementów kompozycji Wyspiańskiego jedno z głównych miejsc zajmuje fantastyczność. Świat złudzeń wogóla ma dla niego nieprzeparty urok dla piękna w nim zawartego[1]). Nie mówiąc już o obrazach o nastroju czysto fantastycznym, wywołanym oświetleniem, we wszystkich niemal scenach pierwiastek fantastyczny przejawia się w wysokim stopniu. Pomijając obrazy o charakterze czysto wizyjnym, jak n. p. wizja św. Andrzeja (scena VII-a), lub kobiety umarłej (scena X-a), nie posiadające właściwych czynników malarskich z powodu braku kompozycji świetlnej i barwnej, we wszystkich obrazach scenicznych uderza obok fantastyczności i pewna widmowość. (Wyjątek stanowi scena V-a). Wizjonerski charakter scen „Legionu" nie polega jedynie na fantastyczności obrazów, lecz potęgowany jest częstokroć przez podkreślenie odrębności otoczenia, w którem się te sceny rozgrywają — przez dziwne niekiedy

---

[1]) List do Maszkowskiego z 8 lipca 1891 r. — Lamus 1910. II. str. 364.

napozór skojarzenie obrazu z tłem, jak w scenach II-ej, VIII-ej i XI-ej. Niepodobna jednak uledz wzupełności urokowi konkretności wizji scenicznych „Legionu”, a to dlatego, że przez celową prostotę i zwięzłość zaznaczenia ich, myśl, którą symbolizują, wybija się zawsze na plan pierwszy.

Jak ściśle twórczość malarska Wyspiańskiego jest zespolona z jego twórczością sceniczną, widzimy stąd, że, jak sam o tym donosi w listach do przyjaciół, stopniowo coraz bardziej wrażenia malarskie łączą się nierozerwalnie z koncepcjami tematów dramatycznych. P. Siedlecki dowodzi, jakoby wrażenia malarskie „przeistaczały się w kategorję tematu dramatycznego” [1]). Prędzej jednak możnaby uważać oba te czynniki twórcze, malarski i sceniczny za równorzędne, gdyż jeżeli nawet wiemy z jego listów, że obrazy Louvre'ou stawały się w jego oczach dekoracjami do scen dramatycznych, to niewiadomo, czy niekiedy wpierw powstała koncepcja dramatyczna nie kształtowała się w sceny komponowane po malarsku, czego dowodem mógłby być chociażby „Legion”. Inna rzecz, że twórczość sceniczna doszła w nim później od malarskiej do uświadomienia, aż z czasem wyłącznie pochłonęła jego umysłowość.

Podporządkowywanie twórczości malarskiej Wyspiańskiego później powstającym koncepcjom jego dramatycznym, doprowadziło p. Siedleckiego do zaprzeczenia istnienia u Wyspiańskiego kompozycji malarskiej na scenie. Zdanie to motywuje on tym, że obrazy Wyspiańskiego nie są podobne do jego malarskich kompozycji scenicznych:

„Obrazy jego scen przypominają raczej wszelkie wpływy malarskie, jakim uległ, podczas gdy malarstwo jego wykazuje zupełne wyzwolenie się z nich” [2]).

W zdaniu tem jest trafnie ujęta różnica, zachodząca między jego obrazami, a malarstwem scenicznem, ale nie zasadnicza, albowiem jest nią ta, że Wyspiański w utworach daje nam mniej lub więcej dokładną opowieść pierwszej koncepcji malarskiej, tej koncepcji, co „jeszcze tylko w krainie myśli się błąka” — gdy tymczasem Wyspiański — malarz przedstawia już tę myśl oryginalnie wystylizowaną, z konieczności w pewne techniczne ramy ujętą. Zauważa też p. Siedlecki, że:

„Malarstwo i rysunek Wyspiańskiego nie przypominają i tematem obrazów scenicznych Wyspiańskiego. Inne jest źródło ich natchnienia i inna droga koncepcji”. [3])

Tą inną drogą koncepcji jest właśnie przejście od twórczości dramatycznej do malarskiej.

---

1) „Wyspiański“ — wydanie drugie str. 58.
2) „Wyspiański“ — wydanie drugie str. 180.
3) „Wyspiański“ — wydanie drugie str. 180.

Z równoległej niejako twórczości malarskiej w utworach wypływa ich sceniczność niezrównana, stanowiąca zarazem spójnię czynników malarskich z dramatycznymi a opierająca się niemal wyłącznie na pierwiastkach wzrokowych.

W obrazowaniu scenicznem, w tych pierwszych koncepcjach malarskich, wszelkie wpływy, jakie przeżywał Wyspiański, muszą się z natury rzeczy silniej odbijać niż w jego obrazach.

Pierwszy, a zarazem najsilniejszy wpływ wywarł na Wyspiańskiego Matejko, który zaciążył zarówno nad jego twórczością malarską, jak sceniczną. P. Siedlecki posuwa się nawet do ryzykownego przypuszczenia, iż: „obrazy Matejki uświadomiły w nim powołanie artystyczne" [1]). Słusznem jednak wydaje się być zdanie, jakoby genjusz Matejki dał impuls początkowemu poświęceniu się Wyspiańskiego malarstwu wyłącznie z pominięciem twórczości scenicznej [2]). Ten przemożny wpływ Matejki na Wyspiańskiego opiera p. Siedlecki na pewnych głębszych analogjach, zachodzących w ich psychice, a więc przedewszystkiem na wspólnem, im gorącem uczuciu narodowem, a następnie na „wżyciu się w treść Krakowa... na wspólnem umiłowaniu jego przeszłości" [3]). Duch Matejki przejawia się zasadniczo w tematach kompozycji scenicznych Wyspiańskiego w mitach narodowych. Jak zauważa Feldman, wyczuć się tu daje wpływ jego obrazów historycznych, który Wyspiański przeobraża w wizje ducha i życia narodu [4]).

Dalsze wpływy w malarstwie przeżywał Wyspiański podczas swego pobytu zagranicą.

Wiadomo, jak bardzo przejął się on architekturą i malarstwem gotyku średniowiecznego. Nie pozostało to bez wpływu na jego dalszy rozwój, zarówno w kierunku malarstwa, jak i sceny. Pokrewieństwo duchowe jego z gotykiem przejawia się przedewszystkiem w witrażach, których postacie mają wysmukłość oraz wyraz uduchowienia i ascezy, przypominające żywo średniowieczne obrazy świętych. Wpływowi gotycyzmu należy też przypisać owo tak znamienne dla całej twórczości Wyspiańskiego oderwanie od rzeczywistości, owo tak zaznaczające się na każdym niemal kroku dążenie nie do wzniesienia się ponad nią, lecz do wywyższenia jej samej, co podkreśla w swej monografji p. Siedlecki [5].

Wpływ gotycyzmu w twórczości scenicznej ujawnia się w zakresie wchodzących w nią pierwiastków nietyle malarskich, ile uczuciowych — po części też w symbolice [6]), choć tę możnaby wypro-

---

[1]) „Wyspiański" — wydanie drugie, str. 44.
[2]) „Wyspiański" — wydanie drugie str. 44 — 45
[3]) „Wyspiański" — wydanie drugie str. 48.
[4]) „Współczesna literatura polska" tom III. Warszawa 1905 str. 115.
[5]) „Wyspiański" — wydanie drugie str. 160 — 161.
[6]) „Wyspiański" — wydanie drugie str. 161 — 163.

wadzić raczej z bezkrytycznego niemal u Wyspiańskiego wprowadzania wszelkich asocjacji pojęciowych do kompozycji [1]).

W uleganiu czarowi gotycyzmu ma Wyspiański wiele analogji z angielskimi prerafaelitami — po części z Rosetti'm, w szczególności zaś z Burne Jones'em. Prerafaelizm był zbyt pokrewnym Wyspiańskiemu, aby mógł on nie uledz jego wpływowi; wpływ ten nie był jednak silniejszym od wpływu samego gotycyzmu.

Wyspiański w twórczości swej łączy różne kierunki malarskie: w podporządkowaniu rysunku kolorytowi jest romantykiem — w oddawaniu efektów świetlnych i barwnych, w oddaniu „plein air'u", jest natomiast impresjonistą.

Z impresjonizmem związane było zainteresowanie się Wyspiańskiego japońszczyzną. Impresjonizm dla przedstawienia „plein air'u" szuka wzorów w malarstwie japońskiem i wogóle wiele ma z niem punktów styczności. Również i impresjonistyczna twórczość Wyspiańskiego wykazuje pewne pokrewieństwo z malarstwem tem, zarówno ze szkołą Tozajską w kolorycie kontrastowym, jak i ze szkołą Kano w kolorycie tonu świetlnego i w perespektywie powietrznej. Pokrewieństwo jest też w umiłowaniu pejzażu, jako części nieodłącznej każdej kompozycji malarskiej. Zaznaczyć jednak należy, że jeżeli sztuka japońska wywarła wpływ na Wyspiańskiego, to jedynie w związku z impresjonizmem.

Różnorodne wpływy odzwierciadlają się w kompozycjach malarskich Wyspiańskiego — ale też w twórczości nie indywidualność jedynie jest rzeczą godną osiągnięcia. Równej wagi jest wielostronność oddawania myśli i uczuć. Wyspiański miał wyjątkowy dar zespalania w zupełnie nową i oryginalną całość motywów pełną ręką wokół czerpanych. Stanowisko jego jako malarza określa najlepiej wyjątek jednego z jego listów do Karola Maszkowskiego: [2])

„Chcąc być malarzem z tą samowiedzą, że się chce nim być, to trzeba patrzeć na całą sztukę, na ogół, i trzeba znaleść miejsce oryginalne. — Trzeba się widzieć innym niż poprzedni, innym niż otaczający".

Anna Danuta Drużbacka.

---

[1]) Sinko: „Antyk Wyspiańskiego". Kraków 1916 str. 116 — 117.
[2]) Lamus 1910. II. str. 376. List 27 września. Paris — 1891.

SPRAWOZDANIA i KRYTYKI.

Nowe chrześcijaństwo.

Coraz częściej obijają się o uszy hasła nawołujące do chrześcijaństwa „w duchu i prawdzie", wolnego od wszelkich więzów dogmatycznych i obrzędowych.

Mamy przed sobą książkę p. Jerzego Hulewicza, którą autor proszony i nieproszony bezinteresownie rozsyła. Tytuł jej: „EGO EIMI. O Ewangeljey Jezu Chrysta według spisania Janowego rzecz w duchu ujrzana".

Ni mniej ni więcej, tylko autor bierze w obronę Jezusa Chrystusa przeciw całemu chrześcijaństwu. „Żydowie i chrześcijanie — pisze — jedno czynią. Dziś oto chrześcijaństwo wzięło na siebie dobrowolnie rolę siepaczy Chrystusowych a wiedzie Syna Bożego, który jest w nas, na Golgotę; iżby spełniło się Pismo — bo przez chrześcijaństwa skrzywionego narzędzie umęczon jest w nas Chrystus iżby przezeń w nas zmartwychwstał". (str. 120).

Przyjrzyjmy się bliżej tej obronie, by lepiej zrozumieć cały kierunek i metodę. Rzecz cała wydana bardzo starannie poświęcona jest „w duchu wierzącym". i „w duchu szukającym".

W przedmowie uderza odrazu niechęć do wszelkich „formułek wyznaniowych", które „sprzyjają zleniwieniu dusz, zabraniając im szukania, w mniemaniu, iż wszystko jest już znalezione". (str. 7). „Duch wyższy nie może poprzestać na obcowaniu z Bogiem przy pomocy prawideł nadanych mu z zewnątrz. Chce on bezpośredniości obcowania, a jego „Tęsknota ku Niemu" (Tatvanam) mocniejsza jest nad wszystkie więzy formalne". (str. 8).

Autor przewiduje, że książka jego u „czcicieli formuły znajdzie potępienie, u ogółu—niezrozumienie, ale pociesza się, że „nie na dziś ani nie na jutro ma ona swe znaczenie". (str. 9).

Następnie uderza ostro na dzisiejsze komentarze, w jakie zaopatrywane są oficjalne wydania Pisma Świętego.

„Przypiski te, niepozbawione w wielu wypadkach słuszności częstokroć grzeszą karygodną wprost przewrotnością i bardzo często zdradzają chęć nie wyświetlenia „wiernym" prawd Objawienia, ale chęć wywyższenia stanu kapłańskiego i umocnienia wyznaniowych formułek" (str. 10).

Ratując sprawę, autor wydaje Ewangielję św. Jana i opatruje ją własnym komentarzem. „Niestety nie znam żadnego wydania biblji, zaopatrzonego w objaśnienia, stojące na wysokości zadania, dlatego w rozważaniach moich oparszy się wyłącznie o samąże treść Ewangielji św. Jana w tłumaczeniu Wujka, szukałem utwierdzenia w czystych źródłach ksiąg t. zw. „religji czystych", jakoteż w zestawieniach poszczególnych ustępów czterech Ewangielji oraz Listów Apostolskich, z których szczególnie uwzględniałem listy św. Pawła. Niemało światła dodały też wierze widzenia młodszego brata Jana Ewangielisty—Juljusza Słowackiego" (str. 14).

W przedmowie są myśli słuszne, jak np. potępienie szablonu i bezdusznej rutyny, formalistyki i faryzaizmu, płytkich albo naciąganych miejscami komentarzy Pisma Świętego, razi jeszcze niemile głucha niechęć do wszelkich dogmatów i form religijnych, granicząca prawie z nienawiścią. Niemile również dotyka zarozumiałe twierdzenie, że autor nie znalazł dotychczas wydania biblji z dobrym komentarzem, a tuszy sobie zgóry, że książka jego ten brak zastąpi. Znaną jest nam nieco ta powojenna psychika, która sprawia, że człowiek zapędzony nerwowo za jedną ideą depce wszystko po drodze, a kiedy sie zabierze do krytyki, to, jak mówi niemieckie przysłowie „razem z wodą kąpielową i dziecko wylewa". Ale to się może zdarzyć i człowiekowi najlepszej woli. Czytajmy

więc dalej bez uprzedzeń i niechęci. Następuje tekst Ewangielji św. Jana w tłumaczeniu Ks. Wujka T. J. wydany bardzo starannie, nawet z pewnym pietyzmem, gotyckim drukiem. Autor zaznaczył w przedmowie, że mu się nie podoba zmodernizowane dla większej niby jasności tłumaczenie Ks. Szczepańskiego T. J. i dlatego wolał zachować poważną formę staropolską.

Można się zgodzić z tem zdaniem lubo i tłumaczenie Ks. Szczepańskiego ma swoje zalety że wymienię tylko jasność, przystępność i ścisłe trzymanie się sensu literalnego, który jest przecież kluczem do głębszego, duchowego zrozumienia Pisma Świętego.

Po Ewangielji następuje komentarz. Pomysł bardzo szczęśliwy dla tych, co pierwszy raz poważnie czytają Ewangielję. bo ich skłania przeczytać całość jednym tchem, poddać się jej urokowi, a potem z komentarzem rozważyć szczegóły. Przejdźmy do samego komentarza, który w danej chwili budzi w nas główne zaciekawienie i pewne niedowierzanie. Komentarz operuje wyrazami chrześcijańskiemi, pragniemy jednak wiedzieć jakie pojęcia kryją się w tych wyrazach i dlatego musimy rozgryźć łupinę, by wydostać jądro. Co autor sądzi o Bogu?

Odpowiedź znajdziemy na samym początku. „Bóg wzięło w sobie początek i w sobie ostateczność znalazło, a początek był po Niem, albowiem Ono zrodziło początek. Bóg położyło kres swej bezosobowej wyłączności i — Praprzyczyną będąc—z siebie Boga Ojca, pierwszą w sobie Osobę zrodziło. Stał się początek" (str. 67).

„To Bóg" autora to coś narazie nijakiego, bezrodzajowego, bezosobowego nieświadomego, które „z pragnienia uświadomienia się w sobie" rodzi „Tego Boga—Boga Ojca" staje się czemś rodzajowem, osobowem, świadomem. Mimowoli przypomina się przebudzenie indyjskiego Brahmy. Może autor przez reminiscencję pomięszał pojęcie chrześcijańskie z indyjskiem?

Idźmy dalej. Ten Bóg doznał „tęsknoty bożej odczucia siebie poza wyłącznością swej Istoty" (str. 67). To również, niechrześcijańskie. Przeciez Bóg nie mógł być kiedykolwiek nieświadomym lub tęskniącym, bo to się nie zgadza z absolutną doskonałością, której nic przybyć, ani ubyć nie może. Cóż wszakże z tej tęsknoty wynikło? „Ta zasię Boża tęsknota, to pragnienie, to wola Ojca — to jest słowo... Druga Bóstwa Osoba" (str. 67). Styl szlachetny, ale ideologja pogańska, panteistyczna. Słowo rozpoczyna krąg niezliczonych wcielań, aż wreszcie staje się człowiekiem. Czy to chrześcijańska tajemnica Wcielenia? Bynajmniej. Słowo emanacja Ojca, od Ojca późniejsze, nadaje sobie wiadomą formę „w niej doskonaląc się, by w doskonałości ostatecznej w święte Ojca łono powrócił, coraz to nowej a doskonalszej formy szukając, według siebie ją przemienia i w nowej znów się stawa. Mirjady epok przeżywszy w ustawicznem stawianiu się, mirjady przemian osiągnąwszy w licznych jak ziarna morskiego piasku globach i planetach, stało się słowo wreszcie w formie człowieka na ziemi w niej odnalałzszy obraz i podobieństwo swojej Praprzyczyny" (str. 68).

Powstał Adam.

Pozwoliłem sobie przytoczyć w całości ten przydługi ustęp, jako próbkę rozumowania a raczej majaczenia panteistycznego w którem regułą jest nieścisła logika, lecz fantazja niczem nieskrępowana. Mamy więc bóstwo panteistyczne, które się budzi w nieświadomości, rodzi słowo, przez nie wciela się we wszechświecie, zmienia formy szukając coraz doskonalszych. aż dochodzi do człowieka. Wszechświat jest ciałem Boga, człowiek chwilową formą Boga, a raczej sam jest Bogiem — Słowem w ciele ludzkiem. Apoteoza człowieka! Wygraliśmy na zamianie. Zamiast dogmatów chrześcijańskich mamy dogmaty panteistyczne! I pokora niepotrzebna! Ale czy ta megalomanja jest uzasadniona? Czem? Mistrz powiedział. Tylko nie Chrystus. Ale poco nam Chrystus, skoro każdy człowiek jest Chrystusem, słowem wcielonem. „Niemowlę wszelkie pełne jest słowa... Wszystek rodzący się człowiek pełen jest słowa — pełen światłości Chrystusowej" (str. 70).

„Przyćmienieniem więc światłości jest mniemanie,że w znajomości historji cielesnego żywota Jezusa i w chwaleniu tegoż żywota i naśladowaniu formy jego dane jest zbawienie“ (str. 70). Więc to ma być obrona Chrystusa przeciw krzyżującym go Żydom i fałszywym Chrześcijanom?

Przychodzi ochota wychłostać autora ciętem słowem ironji. Ale to broń nie chrześcijańska.

Więc życie ziemskie Jezusa i religja przezeń stworzona jest tylko forma przemijającą? Gdzież nam więc szukać zbawienia? W sobie, wypracowując w sobie ducha poprzez niezliczone form przemiany, aż do najszczytniejszej na ziemi — synostwa człowieczego. A potem ofiara własnego człowieczeństwa dla człowieczeństwa. „Oto syna bożego moc, która w swej ostateczności Bogu równa jest, że — spełniwszy ofiarę, Bogu równa się stawa” (str. 71). Każdy człowiek poprzez synostwo człowiecze, synostwa bożego dostąpić może „a w swej doskonałości ostatecznej stać się, Chrystusem — aż być mocnym zrównać się w Bogu z Bogiem” (str. 72). Jaka to wspaniała mowa, ale jakże mglista i fałszywa, a zarazem stara jak człowiek, bo w raju przez kusiciela doń wyrzeczona: „Będziecie jako bogowie” (Genesis r. 3 w. 5). Ale w ustach teologa — panteisty brzmi naturalnie, bo według niego „Wszystko jest bogiem, a bóg jest wszystkiem“.

Możemy oszczędzić czytelnikowi dalszego szczegółowego rozbioru twierdzeń autora, które jak poprzednie za cały dowód mają tylko powagę autora. Niczego nie dowodzi, tylko twierdzi, jak sam Chrystus. Szkoda jeno, że cudów nie działa. A może i działa, bo uważa je za możliwe dla każdego, kto uświadomił w sobie Boga.

Czemże ostatecznie jest zagadka — człowiek? „Nie jest duch mój jednostką osobową i nie jest własnem, w sobie zamkniętem indywiduum, ale jest Boga atomem zeń na czas wyłowionem za przyczyną Słowa“ (str. 82). Rozumiemy i dziękujemy. Wyższe szczęście obiecuje nam dogmat chrześcijański, bo staniemy się Synami Bożymi nie przestając wprawdzie być stworzeniami, ale też nie tracąc swej osobowości.

Pozwólmy streścić się samemu autorowi. „Wcielenia wszystkie przeszedszy, już duch ostateczną osiągnąwszy doskonałość w żywocie Syna Człowieczego, dojrzały był wejść w łono Ojca, z którego wyszedł. Wszelako światłość zapragnął z siebie dać światu i położył duszę swą sam od siebie i stał się Synem Bożym...

To jest Syn Boga Żywego — to jest Słowo, — to jest Dobry Pasterz (str. 99). „Bogowie jesteśmy — rzeknijmy zgodnie i uwierzmy Słowu“ (str. 99). A gdy uwierzymy, gdy się społecznie umiłujemy „wtedy to wróci Chrystus wtedy to będzie zaranie nowej wieków ery — ery Ducha“ (str. 108).

Pomijamy symboliczne tłumaczenia chrztu, eucharysiji, rozprawy o stopniach wtajemniczenia, obiecywanie wiedzy absolutnej boskiej, religji czystej, identyfikowanie Boga osobowego i nieosobowego w najwyższej Istocie Ducha, a Matki Jezusowej z „Duszą Świata“, pomijamy przykre wrażenie, jakie sprawia modlitwa końcowa do bóstwa panteistycznego i tym podobne drobniejsze szczegóły.

Ale nie możemy pominąć słusznych wyrzutów autora pod adresem nas wierzących, szczególniej zaś kapłanów. Prawda, że jest wśród nas dużo bezmyślnej rutyny, rozleniwienia ducha, szukania własnych pożytków i kupczenia w świątyni, wywyższania się kosztem Chrystusa, pożywania Chleba Eucharystycznego umysłem tępym i sercem oschłem, jak się pożywa chleb cielesny i wiele innych błędów, o których autor nie wspomniał. Zamiast zaprzeczać, odpowiem słowy O. Gratry:

„Oddaję w pana ręce i siebie i księży: uderzaj, policzkuj, wymierz mi jeden policzek, a nadstawię ci drugi, i będzie to tylko sprawiedliwością. W porównaniu do naszego niebiańskiego powołania jesteśmy robakami ziemskiemi. Mamy klucze wiedzy, jak powiada Ewangelja, a nie wchodzimy do niej. Mamy

bramę Nieba, a nie wchodzimy, a wieleż razy drugim przeszkadzamy tam wejść! Ksiądz trzyma w swych rękach, w rzeczywistej swej istocie, prawdę boską i nieskończoną, lecz nic z niej nie korzysta: księża znają prawdę na pamięć, ale nie chcą nic z niej zrozumieć. Rzadkie i szczęśliwe trafiają się wyjątki!

Kapłan katolicki, gdyby był tem, czem być powinien, zmieniłby wygląd świata, kiedyby chciał. Lecz kiedyż wreszcie zechce?

Rozgrzesza nas poniekąd to tylko, że jesteśmy jedyną władzą, która się spowiada. Duchowieństwo katolickie jest jedynym Stanem, który się zna, bije się w piersi i korzy. I dzięki temu tylko jest trwały jak świat" (Credo str. 147).

Ile się dzieje na świecie, niewiara i zepsucie ogarnia miljony, a temu winniśmy sami. „Całe zepsucie ludu pochodzi przedewszystkiem od duchowieństwa" — powiedział publicznie Innocenty III papież, a powtarzali to i powtarzają wszyscy zastępcy Chrystusa. Więc też i odpowiedzialność za niewiarę w naszej Ojczyźnie na nas głównie ciąży. Dlatego i słowo krytyki w imię prawdy i dobra wdzięcznem sercem się przyjmuje, byle Chrystus był uwielbiony.

M. W.

Prof. Wincenty Lutosławski: Walka klas stron 26. Poznań 1921, Nakładem Księgarni Św. Wojciecha.

Nikt nie zaprzeczy, że temat walki klas, jest tematem dzisiaj, w epoce powojennej bardzo modnym; mówi się o tej walce bardzo wiele na różnych wiecach i zebraniach, pisze się o niej jeszcze więcej zarówno w pismach i pisemkach brukowych, jak i w literaturze, mającej ambicję tak zwanej naukowości. Jednym słowem jest to temat, o którym wszyscy z niejednego źródła wiemy, bądź to z dzieł Gumplowicza i jego wyznawców, bądź też z wywodów zaczerpniętych bardziej z życia codziennego, wykładanych nam przez agitatorów oraz publicystów namiętnie popierających lub zwalczających zjawisko walki klas.

Przy takim stanie rzeczy naprawdę „głosem na czasie" jest broszura Prof. W. Lutosławskiego która dopiero co ukazała się p. t. „Walka klas".

Autor ujął tytułowe zagadnienie swej broszury w sposób nader ciekawy i oryginalny, daleki od zwykłego ujmowania tej sprawy, dzięki przyjęciu nowej podstawy podziału klas. Podkreśla nam bowiem autor, że „istnieją prawdziwe klasy dawniejsze niż różnice między robotnikiem a fabrykantem, chłopem i szlachcicem, plebejuszem i patrycjuszem, niewolnikiem i człowiekiem wolnym. Najdawniejsza taka klasowa różnica, to jest różnica między złodziejami, a uczciwymi ludźmi. Do klasy złodziei może należeć robotnik i fabrykant, chłop i szlachcic, biedny i bogaty". Dwie te zasadnicze klasy autor jednak dalej jeszcze różniczkuje, mówiąc, że „prócz rzeczywistej różnicy klasowej między ludźmi uczciwymi i złodziejami

jest jeszcze inna równie ważna różnica klasowa między ludźmi zdolnymi a tępymi, także między pracowitymi a leniuchami. Stąd wynikają różne klasy złodziei i uczciwych ludzi".

Podzieliwszy w ten sposób społeczeństwo na klasy „bacząc na różnice duszy, a nie na różnice ciała", zastanawia się dopiero prof. Lutosławski nad walką toczącą się między tymi klasami i stwierdza, że „walka między złodziejami a ludźmi uczciwymi jest istotną walką prawdziwych klas, podczas gdy walka robotników z kapitalistami jest tylko pozorną walką klas dla zamaskowania najgorszego zamachu złodziei na uczciwych ludzi". *W. W.*

Aleksander Kraushar—Warszawa za Sejmu Czteroletniego w obrazach Zygmunta Vogla.

Niedawno pojawiła się nowa książka p. Aleksandra Kraushara p. t. *„Warszawa za Sejmu Czteroletniego w obrazach Zygmunta Vogla"*, w której autor, na podstawie spuścizny malarskiej Zygmunta Vogla, ucznia Baciarellego, pragnie odtworzyć wygląd Warszawy u schyłku XVIII w. Rozporządzając obficie zebranym materjałem historycznym, daje on nam zajmujący obraz stolicy za czasów Sejmu Czteroletniego; nie poprzestaje przytym na opisie i wyjaśnieniu szczegółów, przekazanych nam przez Zygmunta Vogla, lecz uzupełnia niejako wyobrażenie, jakie o dawnym wyglądzie miasta dają nam te artystyczne źródła. Dzięki umiejętnie rzuconemu oświetleniu historycznemu, Warszawa z końca w. XVIII żyje niemal w naszej wyobraźni. Przyczynia się do tego w znacznej mierze żywość i lekkość stylu p. Kraushara. Zbyteczne są może tylko pewne szczegóły kronikarskie; bywają one cenne wtedy jedynie, gdy są źródłowe. Wartość poszczególnych szkiców monograficznych jest bardzo nierówna. O ile jedne czynią w zupełności zadość wymaganiom stawianym tego rodzaju szkicom, o tyle znów inne są luźnym jedynie zbiorem szczegółów kronikarskich. Ogólnie, zbyt mało jest uwzględniony artystyczny moment wyglądu dawnej Warszawy. Największą wartość książki stanowią bezsprzecznie załączone reprodukcje obrazów Zygmunta Vogla (w liczbie siedmdziesięciu) z widokami stolicy z końca w. XVIII, przedstawiające nieoceniony materjał dla historyka sztuki. *D. D.*

SPRAWY BIEŻĄCE.

Ruch wśród kół naukowych.

Obrachunek z dotychczasowej działalności naukowej, jaki musiały sobie zdać poszczególne Koła przed Zjazdem Wileńskim wykazał ogromną jej nikłość, lubo nie dałoby się tego powiedzieć

o pracy samopomocowej, do jakiej bezwątpienia zaliczyć należy wydawanie skryptów przez poszczególne Koła.

Nie będziemy tu analizować przyczyn dotychczasowej bierności Kół Naukowych, a zajmiemy się większemi bolączkami tych Kół. Do takich zaliczyć należy działalność wydawniczą, którą na uniwersytecie prowadzą bardzo intensywnie Koła Prawników i Medyków, na innych zaś uczelniach wyższych Warszawy ogromna większość Kół Naukowych. Działalność ta absorbuje najczynniejsze jednostki odrywając je od pracy naukowej. Z drugiej zaś strony sprowadza ona Koła Naukowe do charakteru stowarzyszeń, wydających mniej lub bardziej dobrze skrypta, stowarzyszeń liczących po kilkuset członków, zapisujących się jednakże li tylko w celu zdobycia dla siebie skryptów, a nie interesujących się zupełnie pracą naukową tych Kół.

Drugą nie mniejszą bolączką jest przenoszenie walki politycznej na tereny Kół Naukowych, wywołane wspólnością reprezentacji Kół Naukowych, ideowych i samopomocowych oraz sprawą Zjazdu Ogólno Akademickiego i połączoną z nim sprawą ordynacji wyborczej na tenże Zjazd. Walczące ze sobą zaciekle Koła ideowe, po opanowaniu poszczególnych Bratnich Pomocy przeniosły walkę na teren Kół Naukowych. Na Walnem Zebraniu Koła Prawników walka ta doszła do szczytu, tak, że zaledwie zdołano ubłagać roznamiętnionych prowodyrów walczących obozów, by nie wysuwali do zarządu list kandydatów prawicy i lewicy. Nic dziwnego, że przy takiem traktowaniu rzeczy najmniejszą zwracanoby uwagę na kwalifikacje naukowe danego kandydata. Przynależność partyjna w zupełnościby to zastąpiła.

Te dwie bolączki głównie, oraz ogólne obniżenie poziomu naukowego poszczególnych Kół stały się bodźcem dla delegacji Warszawskiej, gdy na komisji Naukowej Zjazdu Wileńskiego przedstawiała przez usta jednego z delegatów, kol. Suligowskiego, projekt reformy Kół Naukowych, projekt bardzo szczegółowo omawiający środki zaradcze, z których jednak przytoczymy tu tylko najważniejsze. A do tych zaliczyć należy przedewszystkiem projekt stworzenia książnic akademickich, opartych na zasadach współdzielności, któreby prócz dostarczania szerokim masom akademickim wydawnictw naukowych po możliwych cenach, przejęły od poszczególnych Kół Naukowych akcję wydawniczą. W ten sposób zapobiegłoby się pierwszej bolączce.

Drugi projekt domagał się stworzenia, na wzór Centrali Bratnich Pomocy, Związku Kół Naukowych Polskiej Młodzieży Akademickiej, któryby prócz dbania o interesy poszczególnych Kół i środowisk miał także funkcję reprezentacyjną. W związku z tem zwoływaneby były Zjazdy wyłącznie Kół Naukowych. I toby jeśli nie zupełnie to w części przynajmniej zapobiegło bolączce drugiej. Oba

te projekty zostały tak przez komisję Naukową jak przez plenum Zjazdu przyjęte z zadowoleniem i uznaniem. Wyłoniona została komisja, złożona z delegatów poszczególnych środowisk, pod przewodnictwem kol. Suligowskiego, której polecono opracowanie projektu statutu wspomnianego Związku i zwołania Zjazdu Kół Naukowych w terminie co najpóźniej 6 miesięcznym. Z prawdziwą radością możemy witać ten ruch, mając nadzieję, że przyczyni się on bardzo do podniesienia życia naukowego młodzieży akademickiej.

T. M.

Napaść na prof. J. K. Kochanowskiego.

Krakowski Kurjer Ilustrowany w numerze czwartym z dnia 4 stycznia 1922 zamieszcza notatkę którą podajemy tu w całości:

„*Z Wianuszka Warszawistów* (sic). Wysoki order „Polonia Restituta” otrzymał primo et unico loco p. Jan Kochanowski; dopiero po nim w II klasie, znalazł się wśród innych ks. biskup Sapieha, w klasie III gen. Iwaszkiewicz — a poza wszelką klasą pozostał szereg nazwisk bardzo wybitnych i zasłużonych ludzi.

Kim jest Jan Kochanowski: znakomitym poetą polskiego renesansu, który umarł w XVI wieku. O tem wie całe społeczeństwo. Kim jest współcześnie żyjący Jan Kochanowski — o tem wie zaledwie drobna garstka.

Wyjaśniamy przeto niewtajemniczonym masom, że Jan Kochanowski jest wprawdzie rektorem bardzo mizernej szkoły, zwanej uniwersytetem warszawskim (sic) — pozatem jednak jest historykiem warszawskiego typu, więc autorem efektownych rozpraw o minimalnej wartości naukowej (sic) oraz wydawcą, nieznającym elementarnych podstaw metody naukowej (sic).

Za jakie zasługi otrzymał ów „historyk“ najwyższe odznaczenie — to już jest tajemnica stanu, której nie umiemy wyjaśnić. Wiadomo nam jedynie, że został mianowany kanclerzem kapituły orderu „Polonia Restituta“, mianując więc kawalerów orderu pomyślał przedewszystkiem o sobie.

Oto jeszcze jeden wonny kwiatuszek, wyrosły na koteryjnem bagnie warszawskiej blagi”.

Czytając podobną wzmiankę z' ubolewaniem można jedynie stwierdzić, że redakcja poważnego (?) pisma umieszczając podobne rzeczy tem samem wystawia sobie conajmniej *testimonium paupertatis*, — nie mówiąc już o autorze wzmianki, któremu radzilibyśmy powrócić raczej do opisywania sensacyjnych skandali Krakowskich, niż zajmowania się krytyką rzeczy o których nie ma pojęcia. „*Kim jest współcześnie żyjący Jan Kochanowski*” nie potrzebuje autor wyjaśniać człowiekowi inteligentnemu, który nie uważa za alfę i omegę swej mądrości informacji podawanych przez brukowe pisemka, bo ten wie dobrze, że z nazwiskiem tem wiąże się długoletnia praca naukowa, że Jan Karol Kochanowski w dobie ucisku, w dobie niewoli moskiewskiej pierwszy stał się inicjatorem wychodzącego w Warszawie „Przeglądu Historycznego“, a następnie jego długoletnim redaktorem, że wreszcie człowiek ten do dziś dnia piastuje

godność prezesa Warszawskiego Towarzystwa Naukowego, instytucji o której wie wprawdzie cały świat naukowy zagraniczny, ale o której możliwe że autor powyższej wzmianki dziś się dopiero dowiaduje. Co się tyczy krytyki prac wydawniczych prof. Kochanowskiego, chcielibyśmy bardzo poznać kwalifikacje naukowe autora, który tak śmiało zarzuca prof. Kochanowskiemu *„nieznajomość elementarnych podstaw metody naukowej"*.

Nie wchodząc w szczegóły czy prof. Kochanowski jako taki zasłużył na powyższe odznaczenie czy też nie, przypuszczamy, że odznaczenie prof. Kochanowskiego jako przedstawiciela nauki polskiej, jako byłego rektora Uniwersytetu Warszawskiego tej *„bardzo mizernej szkoły"* (wedle słów autora), każdy inteligentny Polak przyjąć winien z zadowoleniem, że raz wreszcie bierze górę prawdziwa kultura nad chamstwem umysłowem tak rozwielmożnionem w naszem życiu społecznem i politycznem, że raz wreszcie chociaż przy nadawaniu orderu „Polonia Restituta" zarzucono, wprowadzany wszędzie klucz partyjny, a zwrócono uwagę na naukę polską, na naukę, której przedewszystkiem winniśmy zawdzięczać to, że mimo stuletniej naszej niewoli świat nie zapomniał imienia polskiego i że teraz po odzyskaniu niepodległości nie potrzebujemy jak Litwa, Łotwa Estonja i tem podobne państewka tworzyć swojej nauki, lecz możemy śmiało i bez wstydu stanąć w szeregach narodów kulturalnych Zachodu. *T. M.*

PRZEGLĄD PISM.

Czego chcą nasi profesorowie?

Przedewszystkiem ugruntowania bytu naszych Wyższych Zakładów naukowych. To jest ich pierwszą i zasadniczą troską, bo i nic dziwnego, na terenie naszego życia akademickiego piętrzą się takie *„przedziwne"* trudności, iż na alarm jaknajgłośniej bić trzeba. Uposażenie naszego personelu profesorskiego graniczy ze śmiesznością:

„Jeden z naszych najwybitniejszych matematyków, profesor Uniwersytetu, miał w marcu (1921 r.) 2.000 mkp. mniej od swej żony, uczącej w szkole średniej... wybitny zoolog, profesor Uniwersytetu i dyrektor jednego z największych zakładów zoologicznych w kraju, miał mniej od nauczycielki szkoły średniej, rozporządzającej tak znacznym wolnym czasem, że pracuje w Zakładzie u tegoż profesora od godz. 3-ej bardzo wydatnie... nauczyciel gimnazjalny, powołany na katedrę uniwersytecką do swego rodzinnego miasta, musiał rezygnować, motywując, że tak wielkiej ofiary w postaci redukcji dochodów ponieść nie jest w stanie".

Oto pierwsze uderzenie nowego pisma, które poczęło wychodzić od czerwca z. r. p. t. *„Przegląd Akademicki"* pod kierunkiem prof. St. Szobera i komitetu redakcyjnego, który stanowią prof. Jan Czekanowski (Lwów); prof. Tadeusz Godlewski (Lwów); prof. Karol Lutostański (Warszawa); prof. Juljan Makarewicz (Lwów); prof. Mikułowski-Pomorski (Warszawa); prof. Kazimierz Nitsch (Kraków); prof. Jan Rutkowski (Poznań); prof. Kazimierz Sławiński (Wilno); prof. Władysław Szafer (Kraków); prof. Jan Zawidzki (Warszawa).

Słusznym przeto i palącym jest wniosek posłów Sołtyka, Dubanowicza i kolegów o poprawę bytu profesorów naszych Uczelni Wyższych, którzy żądają tylko tyle, aby postępowano z nimi narówni z nauczycielstwem szkół średnich. Mają prawo skarżyć się nasi kierownicy intelektualni, iż dotąd o nich na forum naszych debat parlamentarnych zapominano, mają prawo wytykać posłom naszym, iż nie potrafili się wznieść na właściwy poziom zainteresowań i zrozumienia dla najistotniejszych spraw kultury. Błąd ten okupują wnioskodawcy, podkreślając, że

Sejm świadom swej odpowiedzialności za intelektualny i kulturalny poziom narodu, winien stwierdzić że nie będzie racjonalnie ułożony budżet Państwa w którym oszczędność okupiona zostanie upadkiem szkół wyższych i nauki w kraju, „nieuchronne bowiem następstwa tak fałszywej oszczędności godzą wprost w podstawy gospodarczej, a więc i politycznej niepodległości Państwa, którego ostoją i obroną może być tylko własna, fachowo najlepiej wykształcona, do konkurencji zdolna, twórcza inteligencja pracujących".

Mimo pewnych braków i niedociągnięć wniosku tego, umiejętnie i rzeczowo ujętych przez prof. Czekanowskiego, niewątpliwie jest on wybitnym krokiem naprzód.

Atoli to dopiero jedna przeszkoda bynajmniej nieusunięta. Są jeszcze inne. Dotacje na nasze zakłady, laboratorja i pracownie są tak „skromne", iż niewiadomo śmiać się czy płakać należy. Oto fakty:

„Koń ogrodu botanicznego w Krakowie powinienby czekać z jedzeniem przeszło pół roku, gdyż dawny budżet nie pozwala na kupno obroku wobec zwyżki cen owsa. Dyrektor ogrodu botanicznego, nie posiadając osobistego majątku, musi pożyczać pieniądze na weksle, by przeżywić konia i ratować ogród. Ratować: to wielkie słowo, ujmujące w sposób delikatny fakt likwidacji. W latach sześćdziesiątych, na początku rządów austryjackich krakowski ogród botaniczny był trzecim na świecie. Teraz się o nim już nie mówi. Jest on pierwszym w Polsce, będąc jednym z dwu istniejących, stojąc pozatem na szarym końcu. Zamiast otoczenia go opieką i wzięcia go za podstawę przy organizowaniu ogrodów botanicznych, w pozostałych miastach uniwersyteckich niszczy się go, oszczędzając na opale w szklarni. Nie dając pieniędzy na kupno opału na wiosnę, kupuje się opał u paskarzy w zimie. A potem te iście austryjackie spory o kompetencje. Budynkami opiekuje się Ministerjum robót Publicznych, roślinami Min. W. R. i O. P., wazonami i kubłami nie chce się nikt opiekować. Czyżby w sprawie pierwszych należało się zwrócić do Min, Kultury i Sztuki a w sprawie ostatnich do Min. Zdrowia? Jak może istnieć największy ogród botaniczny w Polsce, posiadając dotacji 1330 mkp. tj. trzy kilo masła?

Dalej

Krakowski zakład botaniczny posiada aż 264 mkp. kwartalnie dotacji t. j. nieco więcej od funta masła. To też prenumerując przed wojną 24 czasopisma naukowe, nie posiada teraz ani jednego.

Atoli nie wolno zaprzeczyć, iż nasze Urzędy liczą się ze wzrastającą drożyzną—owszem dotacje powiększają. Tak więc zakładowi antropologicznemu we Lwowie podniesiono dotację że 66 kor. 67 hal., co stanowiło na początku roku zeszłego (1920) wartość $1^1/_2$ funta masła, na 140 mkp, co stanowi obecnie $^2/_3$ funta masła. Zgryźliwą acz zgoła słuszną czyni autor artykułu uwagę, że jeżeli bytu naszych Zakładów Wyższych nie poprawia

nie pozostanie nic innego, jak rozpoczęcie kroków o przydzielenie ich Min. Spraw Wojsk. które, jak widzimy więcej niż jednego konia utrzymać potrafi. Taki stosunek do spraw rozwoju życia umysłowego kraju, jakiego jesteśmy świadkami, na dalszą metę przecież więcej niż cokolwiek bezpieczeństwu państwa zagraża.

Narzuca się pytanie — dlaczego tak się dzieje? Odpowiedź znajdziemy i w tem, że prof. Uniwers. nie strejkują, ergo nacisku nie wywierają, praw swych drogą gwałtu nie dochodzą. Profesorowie poczekają, toć to ludzie porządni, potulni!... Mają i mieć powinni zrozumienie trudnych warunków naszego Państwa! Ta to polityka, niestety, tkwi — może podświadomie — w duszach naszych Władz rządzących. Ale jest jeszcze inna racja, Sprawozdanie rektorów umieszczone w 2—3 numerze „Przeglądu Akademickiego” podkreślają wyraźnie, iż mimo niedomagań Min. W. R. i O. P. troskliwą opieką w gruncie rzeczy otaczało nasze Wyższe Zakłady naukowe. Więc komu przypisać powyżej wymienione braki? komu? ciśnie się pytanie. Ot, znów słuszne spostrzeżenie:

administracja nasza jest bardzo daleka od opanowania tego, czem ma administrować.

Tak, administracja nasza w pełni szwankuje. „Przegląd Akademicki” ma właśnie za zadanie dopomódz władzom rządzącym uświadomić społeczeństwo i w ten sposób przyczyniać się do umiejętnej organizacji naszej kultury. Wszak wiadomo, że

braki i błędy nietylko odbić się muszą na przyszłej pracy społecznej i zawodowej obecnego młodego pokolenia, ale także wpłynąć mogą ujemnie na dalszy rozwój naszej oświaty i twórczości. Bo przedsięwzięcia, w których liczne czynniki współdziałać mają, po pewnym czasie obraną drogą własnym idą pędem i wszelkie późniejsze odchylenia są trudne.

Te opłakane warunki materjalne potęguje świadomość, iż jeżeli one nie ulegną zmianie szybkiej i skutecznej, jeżeli nie zabezpieczymy podstaw finansowych naszym Wyższym Zakładom naukowym, staniemy wkrótce twarzą w twarz z coraz szybciej obniżającym się poziomem naukowym, a zatem z zanikaniem poważania i godności zagranicą, co niezawodnie pociągnie za sobą i upadek

znaczenia naszego w świecie politycznym. Namnożyło się Wyższych uczelni, lecz i one nie potrafią zaspokoić wymagań chwili bieżącej. Siły naukowe rozproszyły się, nadto wszędzie ich brak. Ale czy mamy nadzieję powiększenia kadr naszego personelu profesorskiego? Powyższe scharakteryzowane warunki materjalne dostarczają horoskopów nader smutnych. Przedewszystkiem poziom naszych uczelni akad. pozostawia wiele do życzenia i jest niewątpliwie znacznie niższy od poziomu naukowego uczelni zachodnio-europejskich (prof. dr. Zawidzki).

A zatem nie nasze szkoły wykształcą przyszłych profesorów!

„Wiele lat upłynie zanim w polskich szkołach akad. wytworzy się rzetelna atmosfera prawdziwie twórcza i rozbudzająca. Jeszcze przez długie lata głównem zadaniem naszych uczelni będzie przedewszystkiem kształcenie pracowników zawodowych dla zadań państwowych i społecznych, kształcenie urzędników, nauczycieli, pracowników i tp.“.

Liczba docentów jest na naszych wszechnicach niewspółmiernie mała w stosunku do liczby profesorów. Gdy w Berlinie w roku 1903 „prywatni docenci” stanowili prawie połowę personelu wykładających, przytem na 10-ciu prof. zwyczajnych przypadło prawie 25 „prywatnych docentów”, to w Uniw. Warsz. w r. 1920 stanowią oni zaledwie 18% ogółu wykładających, a na 10 ciu prof. zwyczajnych przypadło zaledwie 4 docentów.

Smutne, naprawdę, widoki na przyszłość!

Prof. J. Zawidzki wyraźnie oświadcza:

„Z tego, co dotąd było powiedziane, należałoby oczekiwać, że jeżeli obecnie nie zostaną przedsięwzięte przez władze rządowe odpowiednie środki zapobiegawcze, to polskie szkolnictwo akademickie nietylko nie będzie się mogło należycie rozwinąć, lecz przeciwnie, w ciągu najbliższych lat 20 spadnie niewątpliwie *do poziomu szkolnictwa średniego*“.

Czyta się i nie chce się oczom wierzyć — czyż, naprawdę, tak źle jest z naszem akad. szkolnictwem?

I cóż stoi — znów się narzuca pytanie — na przeszkodzie do radykalnej odmiany stosunków? Cóż — odpowiedź zwięzła i jasna: podniesienie kursu marki polskiej. Przykre nad wyraz doświadczenie!

A jednak wiara płomienna bije z piersi naszych profesorów. Wierzą w lepszą przyszłość i wiara ta opiera się na młodzieży naszej, która w ciągu długich lat niewoli, a teraz przed oczyma Polski całej z wyrazistością konkretnego czynu objawiła swą dzielność duchową. Zdają sobie kierownicy nasi sprawę z jej wad — z jej niesystematyczności, niewytrwałości, z jej niedostatecznego przygotowania do prawidłowych studjów akademickich, wszelako nie wątpią, iż te braki — prawda, duże — da się uzupełnić! Wiele dowodów potwierdza nową orjentację wśród naszej młodzieży, przedewszystkiem niebywała frenkwencja jak na wykładach, tak w pracowniach i labolatorjach, oraz wysoki stopień poddających się egzaminowi

ze skutkiem dodatnim. Gdy w r. 1919 poddało się na Uniw. Warszawskim egzaminom 734 studentów, liczba ich wzrosła w r. 1920/21 do 2614 z czego na wydział prawny przypadło 1015, na lekarski 1036, na oddział farmaceutyczny 251, na wydział filozoficzny 15 studentów. Dyplomów prawnych wydano 69, filozoficznych 15. Sama więc młodzież garnie się do nauki, jej zaś profesorowie rozmyślają nad tem, jakby młodzieńczej energji nie marnować, aby przy najtrudniejszych warunkach wychować pokolenie możliwie gruntownie przygotowane do swych zawodów. Wiele już zrobiono dzięki nowej „Ramowej Ustawie", lecz niemało w niej spraw niesprecyzowanych z rozmysłem pozostawionych do publicznej dyskusji. Mamy więc doskonały artykuł prof. Szobera na temat § 95 „w sprawie akadem. stopni naukowych i sposobu ich uzyskiwania". Z naszej strony możemy i musimy jeno przyklasnąć. Egzaminy. Wymaganie duże — wiedza gruntowna i wszechstronna! Bardzo słusznie! i czasu marnować nam nie wolno! Czyż nie jest charakterystyczne, iż I Og. Akad. Zjazd w Warszawie (luty 1920) wyraźnie podkreślił potrzebę kontroli nad studjami wyższemi naszej młodzieży, odczuwał bowiem doskonale jak niesłychanie łatwo rozprasza się energja w dobie tak skomplikowanych okoliczności naszego bytu narodowego, jakie niebezpieczeństwo grozi nam młodym, iż dla braku ludzi pierwszy z brzegu dyletant dostać się może na wybitne i odpowiedzialne stanowisko. My dyletantów nie chcemy, my się ich dla Polski boimy!

Tedy więc wysiłki profesorów z naszej strony jeno z najwyższem spotkać się mogą poparciem! Chciałbym jednak zwrócić uwagę na pewną jeszcze sprawę, przebijającą w „Przeglądzie Akademickim". Wiadomo, że żyjemy pod hasłem potrzeb i reform ekonomicznych. Otóż fakt ten, aż zanadto dobrze daje się odczuć w tem czasopiśmie. Niejednokrotna argumentacja idzie wyłącznie po ich linji, wprost ma się wrażenie, jakby autorowie artykułów, rektorzy w swych sprawozdaniach mieli obawę, że jeżeli szeroko nie omówią wartości ekonomicznej swoich przedsięwzięć, napotkają na obojętność i niezrozumienie. Zapewne przeżywamy chwile ciężkie, finanse nasze przecież w opłakanych warunkach, jednak niepodobna się zgodzić, aby społeczeństwo i Władze Rządzące nasze nie miały ani odrobiny zrozumienia dla istotnych wartości nauki dla doniosłości jej, dla kultury umysłowej, moralnej i artystycznej. Tu właśnie wyłania się brak pogłębienia naszego współczesnego życia, kontynuujemy przeraźliwy indyferentyzm w stosunku do nauki, do pracy myślowej, co odbiło się na dziejach kultury naszej najfatalniej. Otóż my musimy naukę, myśl pokochać i głęboko a wytrwale nią się zająć i zatroszczyć.

Niech się nikt nie obawia, iż w ten sposób zatracimy kontakt z życiem, staniemy się intelektualistami, ludźmi o wykrzywionych

psychikach. Nie, obawiać się nie mamy prawa. Charakter Polaka do tej choroby serdecznej nie dopuści, tembardziej, iż nasi profesorowie zdala stoją od powyższej możliwości. Słusznie pisze Redakcja „Przeglądu Akad.":

Instytucje te (Wyższe Zakłady naukowe) w społecznym rozdziale ról wykonywać mają pracę *moralnego* i umysłowego wychowania narodowego.

W. L.

KORESPONDENCJE.

U schyłku zeszłego roku pomiędzy 4 a 11 grudnia został zwołany do Paryża z inicjatywy posła do parlamentu francuskiego p. M. Sangniera Międzynarodowy Zjazd demokratów.

Sprawą, nad którą zjazd miał się zastanawiać w szczególności była kwestja międzynarodowego pokoju, tak drogiego sercu wszystkich prawdziwych demokratów i szczerych pacyfistów. Pomiędzy delegatami 21 narodów, zebranych w stolicy Francji, nie brakło także reprezentantów do niedawna wrogich sobie jeszcze państw. Ale wszystkich zebranych łączyła wspólność myśli i idei. Można to było wyczuć już z samego początku zjazdu. Praca na zjeździe od dnia otwarcia prowadzona była nader intensywnie. Zebrania odbywały się kilka razy na dzień. Wśród kwestji poruszanych do najciekawszych należały: sprawa utworzenia międzynarodowego związku demokratów, kwestja socjalna i sposoby jej rozwiązania w duchu sprawiedliwości i prawdy, sprawa przekształcenia dzisiejszej tak niedoskonałej Ligi Narodów na Związek Rzeczywisty Ludów i tp.

Z pomiędzy reprezentantów różnych narodów wymienić należy nazwiska: Heyman'a posła do parlamentu belgijskiego, Milani, posła do parlamentu włoskiego, de Rossi, członka stronnictwa ludowego włoskiego, ks. Johann, przewodniczącego związku katolików niemieckich, prof. Hildenbrandt'a z Monachjum, dr. Metzyer'a, sekretarza generalnego międzynarodowego stowarzyszenia katolików w Grazu, oraz reprezentantów Francji jak pp. Buisson,, Chabrun, Hennesy, Boissard, Paul Guy, Richard Barthelemy i in. W sobotę dnia 10/XII wybrano komitet wykonawczy kongresu międzynarodowego demokratów, poczem jednomyślnie uchwalono wytyczne, któremi winien się kierować Międzynarodowy Związek Demokratów.

Przedtem jeszcze został przez zebranych wysłany telegram do Ojca Św. z prośbą o błogosławieństwo dla prac kongresu. Stolica Apostolska odpowiedziała w serdecznych słowach, życząc pomyślnej pracy zebranym. Dnia 11 grudnia uroczysty meeting, który zgromadził 3000 publiczności, zakończył obrady kongresu.

Paryż 30 grudnia 1921.

NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE.

Książki nadesłane do Redakcji:

Dr. W. Chodecki: Strzeżcie się chorób wenerycznych! Warszawa 1922 str. 16, Nakład Księgarni Kroniki Rodzinnej.

Marja Tańska: Metodyka religji i pogadanek religijnych. Warszawa, str. 72, Nakład Księgarni Kroniki Rodzinnej.

Henryk Tyszka: Sejm w dawnej Polsce. Warszawa 1922, str. 16, Nakład Księgarni Kroniki Rodzinnej.

Leon Wicher: Kurs stenografji narodowej polskiej, Warszawa 1921, str. 24, Nakładem autora (Chmielna 35).

S. Włoszczewski: Kasy chorych a doktryna socjalistyczna, Warszawa 1922, str. 62, Nakład Księgarni Kroniki Rodzinnej.

KRONIKA.

Drugi Zjazd Rady Naczelnej „Odrodzenia" Stow. Młodz. Akad. W dniu 31 października, 1 i 2 listopada r. u. odbył się w Krakowie II Zjazd Rady Naczelnej Odrodzenia, Zjazd na którym były reprezentowane wszystkie już środowiska akademickie Rzeczpospolitej Polskiej. A więc obok delegatów Krakowskiej „Polonii" widzieliśmy przedstawicieli Warszawy, Lublina, Poznania, Wilna i Lwowa. W tym ostatnim środowisku Koło „Odrodzenia" powstało na kilka dni przed Zjazdem. O ile pierwszy Zjazd Rady Naczelnej nosił raczej charakter organizacyjny i miał na celu wytworzenie łączności między poszczególnemi środowiskami, o tyle II Zjazd dążył do skoordynowania dotychczasowej pracy, do jej ujednostajnienia i do nadania jej wspólnego kierunku.

Prace zjazdu odbywały się na zebraniach plenarnych, oraz w komisjach organizacyjnej i sekcyjnej. Ważniejsze zagadnienia, któremi się Zjazd miał zająć, zostały ujęte w formę referatów, wygłaszanych bądźto na plenum jak referat kol. senjora T. Błażejewicza p. t. *„Uniwersalizm katolicki i płynące stąd wskazania społeczne"*, bądź też na komisjach, jak referaty profesorów K. H. Rostworowskiego p. t. *„Odrodzenie" w życiu międzynarodowem* i L. Skoczylasa p. t. *Idea narodowa a „Odrodzenie"*. Wywiązująca się po tych referatach gorąca dyskusja była polem na którem ścierały się poglądy poszczególnych delegatów i środowisk. Mimo jednak tych różnic w dyskusji i nieporozumień, wynikających na tle stosunków lokalnych w poszczególnych środowiskach, odczuwać się dawało w całej dyskusji jedno, a mianowicie troska o dobro organizacji, o ujednostajnienie jej pracy i zapewnienie pomyślnego rozwoju na przyszłość. To też rezultatem obrad Zjazdu Rady Naczelnej prócz zarysu Deklaracji Ideowej, regulaminów obrad Zjazdu Rady Naczelnej i Komitetu Wykonawczego oraz Statutu Kół Senjorów, był cały szereg wniosków natury organizacyjnej. Tekst deklaracji ideowej jak również ważniejsze z wniosków podamy w następnych numerach „Prądu". Wreszcie przystąpiono do obioru Komitetu Wykonawczego, który ukonstytuował się jak następuje: Kraków — kol. A. Donhaiser, Lublin — kol. Radomski, Lwów—kol. K. Dzieduszycki, Poznań—kol. J. Lewandowicz, Warszawa — koledzy A. Chaciński, T. Manteuffel, St. Piechocki, Wilno — kol. E. Wojewódzki Prezesem Komitetu Wykonaw-

czego został kol. Chaciński, Sekretarzem — kol. T. Manteuffell, Skarbnikiem — kol. Piechocki.

Drugi Ogólny Zjazd Polskiej Młodzieży Akademickiej w Wilnie. Dnia 17, 18, 19 i 20 grudnia 1921 r. odbył się II. O. Z. P. M. A. w Wilnie. Powziął on cały szereg uchwał, mających regulować życie akademickie w następnem dwuleciu i wyłonił nową reprezentację w osobach kol. A. Chacińskiego (prezes) kol. K. Gluzińskiego (viceprezes) kol. W. Czerwińskiego (sekretarz) kol. J. Rembielińskiego, Straucha, Wł. Daaba i Jaxy-Bąkowskiego. Do Komisji Zagranicznej weszli kol. Jan Baliński (prezes) kol. K. Gluziński, W. Czerwiński, K. Krupski i Janisławski (członkowie).

Walne Zebranie Konferencji Delegatów Kół Naukowych S. U. W. Dnia 12 grudnia 1921 odbyło się Walne Zebranie Konferencji Delegatów Kół Naukowych S. U. W. na którem został wybrany nowy zarząd w składzie jak następuje:

Kol. Jerzy Machlejd (prezes — ponownie) kol. Jan Goldman (viceprezes) kol. Jerzy Manteuffel i kol. Helena Sobolewska (sekretarze), kol. Siwiński (skarbnik).

Na wniosek Kół filozoficznego historyków sztuki, klasykówi medyków Konferencja Delegatów postanowiła przejąć od Bratniej Pomocy S. U. W. komisję wydawniczą, oraz będącą w posiadaniu Centrali Bratnich Pomocy drukarnię.

W tym celu została wyłoniona komisja w składzie następującym: koledzy Tadeusz Makowiecki, Wieczorkiewicz i Jan Malewicz, której powierzono pertraktacje z Bratnią Pomocą. O ile dotychczas wiadomo sprawa ta stoi na dobrej drodze, tak że wkrótce młodzież akademicka będzie mogła korzystać z podręczników, wydanych przez Konferencję Del. K. N. S. U. W.

Dar dla „Odrodzenia". W celu uczczenia pamięci siostrzeńca S. p. J. B. Szyszko-Bohusza p. J. S. złożyła na rzecz „Odrodzenia" 30.000 marek.

Walne Zebranie Koła Prawników S. U. W. Na dorocznem Walnem Zebraniu Koła Prawników w dn. 3 grudnia 1921 dokonano wyborów władz Koła na bieżący rok akad. Nowoobrany Zarząd ukonstytuował się jak następuje:

Tadeusz Rutkowski (prezes — ponownie) Tadeusz Sławiński (I vice-prezes) Feliks Godziejewski (II vice-prezes) Mieczysław Siewierski (sekretarz) Kazimierz Wójcicki (skarbnik) Tadeusz Janiszowski (działalność naukowa) Jan Malewicz (syndyk). Do komisji rewizyjnej weszli pp: Irena Hebdzyńska (prezes) Mieczysław Kleinert i Ignacy Hirszel. Na delegatów do Konferencji Delegatów Kół Naukowych S. U. W. zebranie wybrało kolegów Suligowskiego, Wehra, Olchowicza, Machlejda i Caspaerego.

Sprawozdanie z działalności Koła za rok akad. 1920/21 wykazuje zaledwie 4 zebrania naukowe. Bardzo natomiast intensywnie działała Komisja Wydawnicza Koła Prawników zaopatrując w niezbędne skrypta 1300 kolegów. Obrót kasowy w okresie sprawozdawczym wyniósł 3.354 214 mk. 50 fen. członków Koło liczy obecnie 1938.

Przenosiny Uniwersytetu Lubelskiego. Dnia 8 stycznia r. b. odbyły się uroczyste przenosiny Uniw. Lubelskiego, tej jedynej w Polsce Wyższej Uczelni Katolickiej, do nowego gmachu w b. koszarach Św. Krzyża. Uniwersytet Lubelski zyskuje w ten sposób możność dalszego pomyślnego rozwoju. Wykonawcom dzieła, mającego tak ogromne znaczenie dla rozwoju nauki polskiej, a mianowicie ks. rektorowi Radziszewskiemu i p. Wojewodzie Moskalewskiemu należą się wyrazy najwyższego uznania.

Zarząd „Polonji" Krakowskiej na rok akademicki 1921/22 stanowią: prezes kol. H. Mioduszewski, viceprezes kol. Bilik, sekretarz kol. Paczowska, skarbnik kol. Nyka, gospodarz kol. Gogela, gospodyni kol. Grudzińska, czasopiśmienny i bibljotekarz kol. Swieykowska, zastępca se-

kretarza kol. Tokarska, kierown. sekcji filozoficzno-religijnej kol. Wędrychowski, kierownik sekcji społecznej kol. Hetzman.

Sprawozdanie Sekcji Pracy Społecznej Warszawskiego Koła „Odrodzenia". Z początkiem nowego roku akadem. 1921/22 Sekcja Pracy Społecznej odrazu z dużym rozmachem wznowiła, przerwaną przez wakacje, działalność. Zakres jej działania objął przedewszystkiem tereny robotnicze, młodzieży robotniczej, jak również różne organizacje narodowe.

Największy nacisk padł oczywiście na pracę wśród młodzieży robotniczej; w tym celu, najczęściej przy istniejących już stowarzyszeniach starszych robotników, zostały zorganizowane Koła Młodzieży, męskie lub żeńskie, posiadające swój własny Statut, zarząd i autonomję wewnętrzną, o celach oświatowo-wychowawczych. „Odrodzenie" ujeło kierownictwo tej pracy w ten sposób, że do każdego z Kół przydzieliło na stałe jednego ze swych członków jako kierownika, który układa program pracy, wygłasza sam lub przy pomocy specjalnie wysyłanych prelegentów, prelekcje, referaty, pogadanki, prowadzi wycieczki oraz wogóle dba o rozwój duchowy i kulturalny członków Koła. Na terenie Warszawy zostało zorganizowanych 11 Kół Młodzieży, w których, w czasie od początku roku akadem. do d. 20 stycznia, odbyło się 91 zebrań, połączonych z prelekcją lub pogadanką, na tematy: historyczne, przyrodnicze, literackie, etyczne i socjalne.

Na terenie robotniczym praca S. P. S. była niemniej ożywioną i w praktyce była ona przeprowadzoną w ten sposób, że do istniejących już Stowarzyszeń Robotników Chrześcijańskich S. P. S. wysyła swych członków z prelekcjami, na różne tematy, zwłaszcza historyczne, ekonomiczne, socjalne etyczne oraz z hygjeny. Ogólna ilość Stow. Rob. Chrześć., w których praca stale jest prowadzona wynosi 12, prelekcji zaś zostało wygłoszonych 73.

Nie zapomniała też S. P. S. o młodzieży szkolnej szkół średnich, i wysiłki w celu ich rorganizowania i szerzenia wśród nich ruchu kulturalno-oświatowego podejmowała od listopada r. z. Niestety brak odpowiednich sił i środków nie pozwolił narazie uruchomić tego ważnego dzieła pracy społecznej, jest jednak duża nadzieja, że już w najbliższym czasie uda się na terenie kilku gimnazjów warszawskich rozpocząć naszą robotę.

Oprócz tego S. P. S. nawiązała kontakt i posyłała swych członków z prelekcjami do Narodowej Organizacji Kobiet, do Rozwoju i innych stowarzyszeń, gdzie ogółem zostało wygłoszonych 12 prel. oraz organizowała kwesty na różne cele dobroczynne, jak również zorganizowała i przeprowadziła Kwestę Sylwestrowską na Dom Akademicki w Warszawie.

Zaznaczyć w końcu należy, iż pracę swą S. P. S. prowadzi w warunkach naogół dość trudnych, gdyż szereg koleżanek, kolegów, pracujących w Sekcji jest i tak już przeciążony innymi zajęciami, zbliżająca się zaś pora egzaminów tymwięcej utrudni poświęcenie większej ilości czasu dla pracy w Sekcji.

Statystyka słuchaczów Uniwersytetu Lubelskiego, w roku akademickim 1921/22.

Wydział prawa i nauk społ.-ek.				Wydział nauk humanist.				Wydział teologiczny	Wydział prawa kan.
zwyczajni		nadzwyczajni		zwyczajni		nadzwyczajni			
męż.	kob.	męż.	kob.	męż.	kob.	męż.	kob.		
432	83	135	13	52	201	43	104	23	34
515		148		253		147			

Razem zwwcz. 515 + 253 = 768 + 23 + 34 = 825. Razem nadzw. 148 + 147 = 295.

pg. = wyznanie.

Wydział prawa i nauk społeczno-ekonomicznych.						Wydział nauk humanistycznych,			
mężczyźni				kobiety		mężczyźni		kobiety	
rz.-kat.	gr.-kat.	ewang.	prawosł.	rz.-kat.	prawosł.	rz.-kat.	ewang.	rz.-kat,	ewang.
555	3	4	5	95	1	94	1	294	11

Narodowość wszystkich — Polska.

Fundusz Wydawniczy „Prądu".

Wykaz № 6.

№ kwitarjusza	Nazwisko i imię	Zadeklarowano	Marek
47	porucznik Witold Sujkowski z Warszawy	jednorazowo	5.000
48	ks. Fabjan Szczerbicki z Brześcia n. Bugiem	„	2.500

Od Redakcji:

Powstrzymywaliśmy się z wydaniem numeru bieżącego, czekając na uporządkowanie protokołów i wniosków II. O. Z. P. M. A. w Wilnie—celem podania szczegółowego sprawozdania ze Zjazdu. Ponieważ jednak sprawa ta uległa znacznej zwłoce, nie chcąc opóźniać jeszcze więcej numeru, odkładamy dokładne sprawozdanie do następnego numeru.

Errata.

Przy łamaniu numeru mylnie zostały porozmieszczane przypiski w artykule p. t. *Kompozycja malarska w „Legionie" Wyspiańskiego.* Prosimy więc Szanownych Czytelników o poprawienie następujących omyłek:

na str. 29 należy opuścić oba przypiski, mylnie tam umieszczone
na str. 30 jako przypisek do wiersza 41 należy uważać przypisek pierwszy ze str. 29
na str. 31 jako przypisek do wiersza 18 należy uważać przypisek drugi ze str. 29
na str. 32 jako przypisek do wiersza 6 należy uważać przypisek pierwszy ze str. 30
na str. 32 jako przypisek do wiersza 22 należy uważać przypisek pierwszy ze str. 32.
na str. 32 jako przypisek do wiersza 32 należy uważać przypisek drugi ze str. 32
na str. 32 przypisek podany jako trzeci należy opuścić zupełnie.

Redaktor i Wydawca: Wład, Lewandowicz. Sekretarz Redakcji: Tad. Manteuffel.
Drukarnia J. B. Kondeckiego, Warszawa, Marszałkowska 53a. Tel. 268-08.